



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

DK

4372.3

T97

1894





79c 186

1863-1864.

W trzydziestą rocznicę.



1863

KSIĘGA PAMIĄTKOWA.



Bibliothek
Deutsche Hochschule f. Politik
Berlin

Cena 1 zlr.

Ausgeschieden 37 0528


L w ó w.

Nakładem Towarzystwa wzaj. pomocy uczestników powstania 1863/4.

1894.

Z drukarni W. A. Szykowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.

POMOC DAJCIE MI RODACY!

 Jam pod farnym, pod kościołem —
Mimo, że zeń drwią żebracy —
Biada starzec szczudłonogi:
»Pomoc dajcie mi rodacy!«

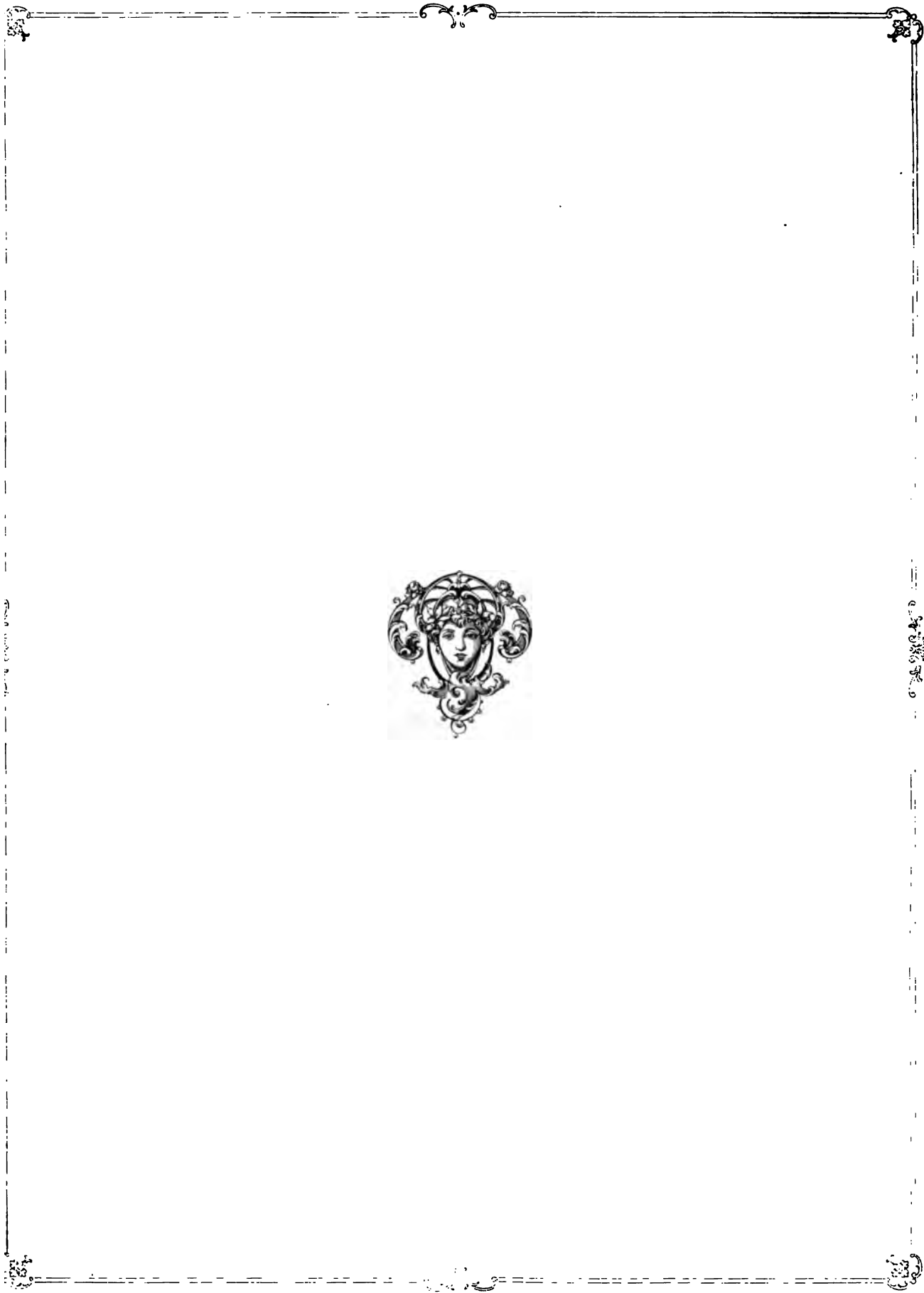
»Gdym był młody, zdrow i silny,
Jam nie żebrał, jak dziś czynię,
Lecz w bój szedłem z marzeniami
O zwycięstwie i wawrzynie!«

»Wróg zwyciężył — a gdym wrócił
Do mych dawnych prac stolika,
Precz mnie gnano, jak psa gnano,
Darząc mianem — »miateżnika!«

I zagnano aż pod kościół,
Gdzie — nie mogąc znaleźć pracy,
Żebrzę! — wstyd i srom mnie bierze:
»Pomoc dajcie mi rodacy!«

Krew się w żyłach naszych ścina
Na tej piosnki rzewne głosy,
Więc nie dajmy mu tak biadać,
A nagrodzą nas niebiosy!

Adolf Stroner.



Najczcigodniejszemu obywatelowi
MIECZYŚLAWOWI DAROWSKIEMU
ofiarując szablę starą
w dniu Jego Imienia
napisał i złożył
Florenceja 24/3 1879. *Teofil Lenartowicz.*

Na Włoskim rynku szablę znaną,
Którą tu dzieci miejskie podrzucały,
Jak podrzucają Piastowską koronę
Tej magnateryi resztki dziś zuchwałej,
Tobie przynoszę, byś zabrał ten szczątek
Do swej skarbnicy wspomnień i pamiątek.

Z szablą tą może w Hesperyjskiej stronie
Umierał Polak w te zabiegły kraje,
Może ostatnią ścisnął ją przy zgonie
W chwili gdy ducha Bogu pierś oddaje,
Może w nią patrzył i zgorzałą wargą
O Polsce szeptał swojej „*dulcis argo!*“

Rękojeść czarnym obwitą jaszczurem
Może przyciskał z połamaną gardą,
I pochwę starym pościaganą sznurem,
I w niebo patrzył po rycersku hardo,
I konający w ciemną zgonu chwilę
Wymawiał: wolność to „*verbum nobile!*“

„*Pro patria mori*“, a uśmiech spokoju
Wiecznego słońca pięknoscią go zdołał,
Jako w szlachetnym za Ojczyznę boju,
Na roli bożej dzionek swój ozdobił
I wraca z pola z złotą życia kartą,
Z szablą strzaskaną, ale nie wydartą!

Może to jaki konfederat stary,
Na manifeście podpisany w Barze,
Który pod znakiem Chrystusowej wiary
Z najświętszą Panną na złotym sztandarze
Stawał do boju kręcąc szablą młynki,
I nie pieśń świecką piejąc, — lecz godzinki.

Może ta szabla była jeszcze cała,
Lecz gdy nań przyszły widma dni obecnych,
Zwątlenie w Polskę, ilość czynów niecných,
Pękło żelazo i w wiatr poleciało,
Jako stół pęka na znak przepowiedni,
Tak się strzaskały polskie szable w te dni.

Tobie ją składam szlachetny rycerzu,
Coś bronił matki niepodległą szpadą,
Którąś zastąpił Amen w swym pacierzu,
Służąc ojczyźnie i ręką i radą.

Tobie coś sztandar jej podźwignął z prochów
Nieprzegryziony ostrym czasu zębem,
Sztandar z napisem Olszanka i Grochów
I z wieńcem liści zerwanych pod Dębem,
I jeszcze dodał ów znak Kościuszkowski,
Kłosy i zboża, wyzłacane kłoski,
I gwiazdę na nim i orła pomieścić,
By ta świeciła i by ów szeleścił!

Tobie ją składam coś z polskim narodem
Z jego najczystsza i najświętszą treścią,
Nie włącząc wzrokiem za wschodem, zachodem,
Jedną nadzieją, jedną żył boleścią,
I dłoń połączył z ludową żyłastą,
Z taką co z młotem idzie jedna na sto.

Coś wśród ubogich narodu warsztatów,
I u nędzarzy chacianych tapczanów,
Dopatrzył ślicznych narodowych kwiatów
Wolności ducha i równości stanów,
I widział twarze te czarne od dymów,
Z dziecięcą duszą i z dumą olbrzymów.

I nad nie ogniem twojej piersi wrzającej,
Wywołał widmo tej nie konającej,
Wiecznej nadziei odradzanej w czynach,
We krwi poległych i szubienic skrzypie,
W lochach podziemnych, w syberyjskich minach
I ach o zgrozo i w pijanej stypie,
Tych co dziś krwawe wzgórza cierpień gładzą,
Puchar podnosząc silni wrogów władzę.
Nadzieja twoja naśmiewa się z burzy,
Nie śmiechem synów nocy i szatana,
Ale uśmiechem dziecięcia i róży,
I pierwszych świtów majowego rana.

Potężna prawem wolności anielskiem
Nie przeszkodzona, nie zachwiana niczem,
Naprzód z narodem twoim rzemieślniczym
I z twym narodem posuwa się sielskim,
Pod ręką Boga spokojna jak dziecię,
Które i nie wie że płaz podły gnicie,
Nad węzów głowy i gniazda jaszczurek
Pieśni wolności ciągnie pereł sznurek.

Weź że tę szablę Rycerzu mej nuty,
A powiedz że to nie Prometej drugi,
Ale duch z ludem jednym bolem skuty,
Którego łańcuch wciąż nim trzęsie długi,
Szablę tę starą w ręce złożył twoje,
Wracającego między święte tłumy,
I nad dymiące zgniłych wód zastoje,
Z których podnoszą się odstępców dżumy,
Żebyś nią krzyża znak zamachnął w gromach
I rozniósł błyski po ubogich domach,
I abyś braci zawieścił roboczej:
Że tu są wiecznie w nią wpatrzone oczy.

A pismo moje złóż w tej złotej księdze,
Co wieść o tobie do następnych poda,
Gdy ja płynący wciąż pod czasu nędzę,
Jak z pięciu źródeł Dunajcowych woda,
Która z pod piasku w Karpatach wytryska
Tem tylko barwna co na niej połyska;
Popłynę dalej unosząc na sobie
Na przenajczystszej myśli mojej fali,
Ciebie rycerzu i podobnych tobie,
Których pamięcią duch mój się pochwali,
Żem widział lecąc przez łzawe przestrzenie
Rycerzy polskich i żem niósł ich cienie.



I naszej polskiej rozkazał ojczyźnie!



»I polskiej naszej rozkazał Ojczyźnie,
By wiodła w miłość i mir ludy bliźnie
Nie zatraconej prawości przykładem«.

Krasinski.

Panie! coś naszej rozkazał Ojczyźnie,
Gdy poświęceniem jaśniała w przeszłości
By wiodła w miłość i mir ludy bliźnie,
Przykładem zacnej, rycerskiej prawości.

Spójrz! o spójrz Panie! Ta Polska w mogile!
Gdzie dawna sława, potęga i chwała? —
My karty duchem — dźwignąć jej nie w sile,
Bo dawna zacność z serc nam uleciała!

Chwast, bujne polskie pokrył dzisiaj łąny:
Bo zysku chciwość — to znów wojen trwoga,
Wciąż walcząc z sobą o prym na przemiany,
Zrobiły z Polski kram — bez czci i Boga!

Na politycznej frymarząc arenie,
Ducha kramarze — dla widoków własnych —
Sprzedajem własną godność i sumienie,
W nadziei zysków, lub błyskotek jasných!

Wróg nam urąga — i pogardza nami,
Bo godność własną w sobieśmy zatarli:
I małodusznie dowodzim czynami,
Żeśmy zacności ojców się wyparli!

Błagamy Ciebie! Wróc nam serca czyste --
Odnów w nas zmysły — z dusz wypień kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!

Niech miłość Twoja, prósb naszych wysłucha;
Do Ciebie Panie! biedny lud się modli,
By nie skalali szlachetności ducha
W nas — nasze wrogi — lub ci Bracia podli.

Co dla korzyści, lub własnego zysku,
Łudząc się wrogów płonnych łask nadzieją,
Wród naszych rodzin, w domowym ognisku —
Zgnilizny ducha podłe ziarna sieją!


Te polskie łany oczyść z tych kąkoli!
Lub zmień w nich ducha, co się gnie i karli!
I wlej w ich serca siłę dobrej woli,
By się w swych czynach Ciebie nie zaparli.

Tak, jak Ojczystej zaparli miłości,
W niecnej rachubie, dla podłego zysku!
Niech odrodzeni w braterskiej jedności
Pracują razem — i w bratnim uścisku.

Wraz z nami idą zacnych Ojców śladem!
Miłość ofiarna niech w sercach zagości,
Byśmy na nowo być mogli przykładem,
Nie zatraconej rycerskiej prawości.

Edmund Łoziński.

Módl się za nami!

rólowo niebios, Ty, co przed wiekami
Stałaś się matką Chrysta-zbawiciela,
I Twemi, Pani, świętymi stopami
Zmiażdżyłaś głowę węża-kusiciela,
My wierni, ciebie błagamy ze łzami:
O! bądź nam matką i módl się za nami!

Ty, któraś Polsce w dobrej i złej doli
Była puklerzem miłości i wiary
I nawet w naszej stuletniej niewoli
Nasze szlachetne wspierała zamiary,
My rozdarci błagamy cię z łzami:
Bądź matką naszą i módl się za nami!

A za łask tyle, jakimi nas, Pani,
Darzysz od wieków, krzepiąc w sercach wiarę,
Te serca wierne składamy Ci w dani,
Błagając: Matko przyjmij z nich ofiarę
I nie racz gardzić naszemi prośbami,
Lecz bądź nam matką i módl się za nami.

Królową Polski zwie Cię naród cały,
I Twem obliczem zdobi swe sztandary, —
Więc wiedz je, Matko, dla tej Polski chwały
Na wszystkie piekiel książęta i cary —
I — jak łeb węża — świętymi stopami
I ich łby zetrzyj, i módl się za nami!

As.

Przysięga Kościuszki.



chłopskiej sukmanie z twarzą natchnioną
Stanął na rynku Krakowa —
Z szablą groźnie do góry wzniesioną,
Wygłosił przysięgi słowa:

»Na Matkę Bożą — Patronkę naszą!
Przysięgam ci polski ludu —
Że walczyć będę za wolność waszą,
Nie szczędząc życia ni trudu!«

Słowa Kościuszki wiatry rozniosły
Po całej polskiej krainie,
Wnet białe orły lot swój podniosły,
A z mężnych piersi krew płynię!

Co zabarwiła wiślane wody,
Skropiła ojczyste łany —
Lecz nie wróciła Polsce swobody,
Nie zablizniła jej rany.

»Finis Poloniae!« krzyknął radośnie
Wróg nasz zwycięstwem pijany.
Na polskiej ziemi już nie porośnie
I burzan wiatrem rozwiany!

Lecz nim dokończył pełen zachwytów,
Dalekiem echem zadrgnęła
Cudna piosenka z Apenin szczytów:
»Jeszcze Polska nie zginęła!«

Stanisław Łukasiewicz.



JESZCZE NIE ZGINĘŁA!

Gdy przed stu laty złożono Ją w grobie,
Pytała duchów słabych rzesza blada:
Żali nie wstaje już, kto raz w proch pada.
I cóż nam począć w grobowej żałobie?
I strzępy ducha wyniówszy z pogromu
Rwali swe głosy — lub szli w służbę wroga
I nie zostało Jej nic już prócz sromu
I leż na ziemi i tam w górze — Boga.
Aż nagle — z grobów burzą wionęła
Pieśń ocucenia: Jeszcze nie zginęła!

Bądź pozdrowiony hymnie zmartwychwstania,
Co z grobu Polski odwalasz kamienie,
Tyś wódz co silnych wiedzie pokolenie,
Dzwon co godzinę przyszłości wydzwania!
Tyś naszą wiarą, miłością, nadzieją,
Ty ufność budzisz, która w sercach drzemie,
Obwieszczacz świty, co za chmurą dniają,
A w usta kładzisz nam Jej święte imię.
Tyś jest krynicą, z której życie bierzem,
Ukryżowanej Polski — Tyś pacierzem!

O nie zginęła! słów tych napis krwawy
Urąga katom ze śniegów Sybiru,
Z pól Ostrołęki i szubienic kiru,
Z bruku niewinnych krwią zlanej Warszawy!
O, nie zginęła! w nieśmiertelnej pieśni
Brzmi jęk smaganych w lochach cytadeli,
I szczęki kajdan — wśród Kufsteinów pleśni,
I klątwa matek na ród Wieszateli!
Pomordowanych niemowlątek głosy
Biją tym hymnem tryumfu w niebiosy!

O nie zginęła! szalbierstwa kapłani,
Wezwijcie w pomoc wszystkie mocy piekła —
Ciała pokrwawi złość wasza zaciekła,
Lecz jad zwątpienia ducha nam nie zrani!
Ona nie zginie! w dziejowej topieli —
Z geniusza czynów czerpie życie swoje —
Z serca poetów, z ducha myślicieli
Nieśmiertelności biją dla Niej zdroje:
I z Boga, z ducha, z męczeństw arcydzieła
Płynie pieśń życia: Jeszcze nie zginęła!

O nie zginęła! dziś pieśń legionisty
Na pracy metal szlachetny przekuta —
Dziś w stuku młotów, w pracy kielni, dłuta
Hymnem zbawienia rozbrzmiewa głos czysty!
A każdy uścisk, który dłoń szlachecka
W braterstwie niesie czarnej chłopskiej dłoni —
To posiew dla Niej, to ofiara dziecka
U stóp macierzy — Orła i Pogoni!
W trudzie i znoju dla Niej pot z nas płynie,
I któż nam powie dziś, że Ona zginie?

Ona nie zginie! bo łez i krwi morze
Z potokiem czasów nie marnie spłynęło,
Lecz zmartwychwstania Jej okupi dzieło,
I starga naszej niewoli obroże.

Ona nie zginie ; bo czyściec wiekowy
W krwawych doświadczeń okuł nas pancerze,
Światłem rozumu oblał nasze głowy
I serca ochrzcił w nowych haseł wierze.
Ona nie zginie, bo wierzymy w siebie —
Ona nie zginie -- bo jest Bóg na niebie!

Franciszek Konarski.



Bóg w wolę ludu rzucił cudów zaród.



Żądza serc wielu może pod mogiłę
Zstąpić jak anioł — i anielską siłę
Wlać w kość i popiół — nazad stworzyć naród.
Bóg w wolę ludów rzucił cudów zaród!

Krasinski.



Bóg nam urąga — w swych satrapów tłumie,
Gdyż bezoreźni stoim w obec wroga,
Który w bezmiernej swjej pysze i dumie,
Siłę swą stawia wyżej od praw Boga!

Lecz patrząc w przeszłość! w tem nasza otucha,
Iż pyszni — nigdy w rachubę nie brali,
Co głównie waży, na zwycięstwa szali,
Czy siła pięści — czy też siła ducha!?

Ci którzy szerząc w krąg idee nowe
Pierwsi w świat nieśli słowo chrystusowe —
Jak my bezbronni byli — nie oreźni —
Lecz silni wolą — lecz duchem potężni!

Ci nie zwyciężą żadnym w świecie trudem,
Gdzie tylko pycha, z egoizmu brudem,
Jest wszystkich czynów i działań pobudką...
Zwycięstwo takich — trwa zazwyczaj krótko!

Spójrz w dzieje ludów — w tę historyi księgę —
Potężni pychą dawno legli w grobie!
Ci — z grobu wstali — co ducha potęgę,
I miłość kraju przechowali w sobie!

Ten co wśród nieszczęść — w miast sił swych skupienia
Zbędzie się wiary — prawości sumienia —
Miłości kraju — ten w miast odrodzenia
Zaginąć musi — bo nie wart istnienia!

Żaden tam władca — lub żelazne ramię —
Ducha narodu — przemocą nie złamie!
Każda potęga brutalna się skruszy
O siłę woli, o hart męskiej duszy!

Bóg w wolę ludu rzucił cudów zaród!
Wola podźwiga — daje czynu siły...
Brak jej — zbydlęca — ubezwładnia naród —
Ducha upadła — wiedzie do mogiły!

W cud się zolbrzymi — kiedy się zespoli
Miłość szlachetna — z siłą męskiej woli —
Ta — która idzie poświęcenia drogą...
Takiej i piekła zdruzgotać nie mogą!

Edmund Łoziński.



WETERANOM POLSKIM

z r. 1863.

Gdy wróg skurczywszy drapieżne swe łapy,
Wolnego ducha przerażony głosem,
Chciał za namową podłego satrapy
Powalić naród skrytobójczym ciosem:
To Wyście — wierne polskiej ziemi syny —
W obronie świętej godności matczynej
Wszystko najdroższe oddali w ofierze —
Cześć Wam, wolności szermierze!

Chociaż bezbronni, wśród leśnych bezdroży,
Chociaż przez własnych potępiani braci —
Niepomnych prawdy, starej jak świat boży,
Że z czci utratą naród wszystko traci: —
Przecież do walki stanęliście śmiało,
Zbrojni w pięść tylko od mrozu skostniałą
I w poświęcenia ogniste puklerze —
Cześć Wam, wolności szermierze!

I nadludzkiego wysilenia męztwa
Cześć bohaterów w świecie Wam zjednały;
A choć nie mogły one dać zwycięstwa,
Bo was w tej walce pokonać musiały
I przemoc wroga i dusz podłych wstręty: —
Wyście spełnili obowiązek święty,
I tej zasługi nikt Wam nie odbierze —
Cześć Wam, wolności szermierze!

Nie marne były też wasze zapaly
I krew, co leśne zboczyła pustynie;
Bo z nich się znowu przekonał świat cały,
Że nie zginęła jeszcze i nie zginie
Ta, która takich bohaterów rodzi,
Choć wróg od wieku na jej żywot godzi
I chociaż groby przybyły jej świeże —
Cześć Wam, wolności szermierze!

Toż niechaj przykład biorą z Was potomni,
By — skoro przyjdzie pora do działania,
Jak Wy stanęli krzepcy i niezłomni
I w służbie wierni aż do krwi przelania;
A wtedy naród już starga swe pęta,
I cała Polska — czią dla Was przejęta —
Powtórzy za mną rozgłośnie i szczerze:
»Cześć Wam, wolności szermierze!«


W czerwcu 1894.

Fr. Waligórski.



Major Nikiforow.

Epizod z roku 1863.

 Kolumna moskiewska, złożona z trzech rot piechoty Smoleńskiego pułku i z jednej sotni kozaków maszerowała gościńcem radomskim od strony Kielc.

Około południa dotarli Moskale do miasteczka Wąchocka, gdzie przystanęli na gościńcu dla chwilowego wypoczynku.

Dowódzca oddziału, major Nikiforow, wstąpił do chaty droźnika dla zasięgnięcia wiadomości o ruchu powstańczych oddziałów, które operowały w tych stronach.

— Miatieżniki byli?

— Byli przepraszam Jaśnie Wielmożnego Pana Jenerała — odrzekł zastraszonego droźnika.

— Gdzie?

— Ano we Wąchocku!«

— A kiedy?

— Dziś do dnia poszli ku Nekłaniowi!«

— Długo tu stali?

— Przyszli o północy a poszli ze świtem!

— Stali w mieście?

— Nie! — rozłożyli się na polach. Tylko kilku na koniach przejechało przez miasto i po chwili wróciło do swoich.

— Tak? byli w mieście? haraszo!

I zerwał się Nikiforow jak dziki zwierz a oczy zabiegły mu krwią i złowroga chmura zaległa czoło.

— Dyżurny! padawaj paruczniaka Woroncowa — skrzyknął z przede drzwi chaty na wyprostowanego stupajkę, który zrobiwszy »lewo w tył« zdwojonym krokiem podążył ku wypoczywającej kolumnie.

Za chwilę zjawił się wezwany porucznik i odebrawszy krótko brzmiący rozkaz wpadł między rozłożone żołdactwo i gromkim głosem zakomenderował.

— Smrna!

W okamgnieniu uszykowała się kolumna i przyjąwszy formę bojową posunęła ku miastu, wysuniętą o kilkaset kroków „szpicą“ kozacką.

Na czele forpoczt szedł porucznik, a kolumnę prowadził Nikiforow, zdawszy drugiemu oficerowi dowództwo tylnej straży.

Sygnaturka z wieży parafialnego kościoła wzywała do południowej modlitwy, gdy forpoczt stanęły na rynku a równocześnie reszta oddziału opasała miasteczko silnym kordonem dookoła.

Nikiforow wjechał na rynek i kazał przywołać burmistrza.

— Wy w nocy balowali się z miatieżnikami! — skrzyknął Nikiforow na spokojnie wyczekującą głowę miasta.

— Nikt się nie balował, bo powstańcy stali tam za miastem.

— Wrosz maszennik!

— Mówię prawdę, którą zresztą poświadczy całe miasto.

— Wy wszyscy buntownicy! ale ja was nauczę. — Gdzie przystaw?

— Niewidziałem go od wczoraj!

— Szto? takż palak! uszoł w bandu?

— Tego nie wiem!

— Nie wiesz?

— Panie majorze! zwracam pańską uwagę, że postępujesz niewłaściwie z urzędnikiem państwowym!

— Ty mnie będziesz uczył jak mam mówić z taką swołoczą?

— Jestem szlachcic nie żadna swołocz! i mógłbym panu nawzajem tą samą odpowiedzieć obelgą!

— Ty do mnie? ty polskie ścierwo! z temi słowy przyskoczył do burmistrza i wymierzył mu silny policzek.

— Panie! jestem cesarkim urzędnikiem! znieważać mnie nie wolno! — krzyknął biedny burmistrz, ocierając twarz z broczącej krwi.

»Nie wolno? da! zobaczymy! — i zamierzył się Nikiforow powtórnie, lecz burmistrz jednym skokiem znalazł się w sieni domu, pod którym odbywała się ta wstrętna scena i znikł jak kamień w wodzie.

W Moskalu zagrała mongolska krew, a rozkieżzana i rozbestwiona natura wystąpiła na jaw z całą dzikością.

»Szukać mi to ścierwo i dajcie mi go tu, ale w siej czas!

W lot poskoczyło kilkunastu żołdaków do domu, lecz wszelkie poszukiwania okazały się bezowocne. Przetrząsnięto wszystkie kąty i zakamarki, szukano w kominach, w piwnicy, na strychu, nawet do chlewów włąziło żołdactwo... wszystko napróżno. Burmistrz znikł bez śladu.

Wywleczono na rynek właściciela domu, ociemniałego ośmdziesięcioletniego starca i stawiono go przed Nikiforowem.

— Pasłysz ty staryk! — gdzie burmister?
— Nic nie wiem panie Jenerale. Jestem ciemny i nie wychodzę całymi tygodniami na świat.
— Ty ślepiec? ale miatieżników umiesz chować?
— Chron! Panie Boże! Siedzę spokojnie i nie wiem o bożym świecie!
— Wy psie syny wszyscy buntownicy!
— Ani ja psi syn, ani buntownik!
— Małczy stierwa, maszennik!
— Za cóż mnie panie bezczęście? jestem stary i kaleka! doś na mnie nieszczęścia... Spójrz na mój siwy włos...
— A ty driań! i ciężka ręka Moskala spadła na twarz starca.
— Niech cię Pan Bóg pokarze za krzywdę wyrządzoną kalece!
— Hej! Pan Bóg? twój Bóg? polski Bóg? no zobaczmy kto mocniejszy?

— Zaświecić ślepcowi. Nuż rabiata! ogień pod dach!

Starzec padł na kolana i błagalnym głosem prosił o litość. Z próżnych źrenic spływały strumienie łez a głuche łkanie tłumilo drżący głos jego.

— Paszoł won! — wrzasnął Nikiforow i kopnął staruszka w piersi, że biedaczysko się zatoczył i bezwładnie upadł na bruk ulicy.

Dzicz wychowana w karbach bezgranicznego posłuszeństwa wykonała na oczekaniu rozkaz dowódcy i niebawem czerwone płomienie buchały z pod dachu, obejmując całe domostwo.

Jakby na komendę ozwały się dzikie śpiewy rozbestwionej tłuszczy a hasło rzucone przez Nikiforowa:

-- Pohulać rabiata! — przyjęte radośnem wyciem, obiegło szeregi ustawionego za miastem kordonu.

Ze wszystkich stron zaczęły się wznosić obłoki czarnego dymu, a zachodzące słońce rzucało swe promienie na jedną kupę dopalających się zgliszczy.

Spokojne przed kilku godzinami i oddane cichej pracy schludne miasteczko znikło z powierzchni ziemi. Odymione kominy sterczały ku niebiosom jako nieme świadki okrucieństwa mongolskiej tłuszczy, a z całego miasteczka ocalał tylko kościół i dwa domy, oddalone o kilka staję.

W ogniu zginął nieszczęśliwy ociemniały starowina, który przyszedłszy do przytomności instynktownie trafił na swoją zgubę do bramy palącego się domu. Spaliło się kilkoro dzieci, mnóstwo bydła i całe mienie ruchome biednych mieszkańców poszło z dymem.

Bohaterski rycerz pogromu przypatrywał się z przyległych pól własnemu dziełu a kiedy się przekonał, że z miasteczka ani jeden kamyk nie został, poszedł dalej z swoją kolumną nieś w inne strony dobrodziejstwa rządów białego cara.

Ale Ten, który doświadcza ludzi i spuszcza na nich ciężkie nieraz do-pusty, jest także Bogiem karzącym.

Opisane sceny działy się 21. kwietnia 1863.

* * *

Oddział powstańczy Czachowskiego obozował w lasach Nekłańskich, gdzie zgromadziły się, operujące w radomskim, oddziały Kanonowicza, Wiśniewskiego, Stamirowskiego i t. p.

W części lasu zwanej »Piekło« wypoczywał Czachowski po całotygodniowych forsownych marszach i przystanął tam na dwa dni, ponieważ jako naczelny wódz ziemi Radomskiej w tem miejscu nazaczył zbór wymienionym wyżej oddziałom.

Tutaj doszła go wieść o strasznym okrucieństwie Nikiforowa i w lot powziął postanowienie ukarania tego dzikiego zwierza.

Zaraz po północy z 22. na 23. kwietnia 1863 wyruszyła w drogę część oddziału, złożona z dwóch kompanji galicyjskich pod wodzą Łopackiego, kosynierzy z Konstantym Olszewskim, kawalerja z Dyonizym Bertholim i oddział konny Stamirowskiego.

Po kilkugodzinnym marszu natknęli powstańcy na posuwającą się z przeciwniej strony kolumnę moskiewską.

Wzdłuż gościńca ciągnął się stary las sosnowy, w środku którego, na dawnych zrębach, wznosiła się kolonja »Stefanków« z kilkunastoma chatami, karczma i młynem, zbudowanym nad małą rzeczułką.

Moskale szli właśnie przez środek wsi gdy nasi tyralierzy rozpoczęli ich ostrzeliwać z brzegu lasu. Po dwóch salwach rotowych, które nam żadnej nie wyrządziły szkody, rzuciła się Moskwa między opłotki a skryta za domami odstrzeliwała się bezładnie.

Po dwóch godzinach walki rozstrzygnęły się losy na zupełną korzyść powstańców.

Do stu zabitych moskali zaległo plac bitwy, reszta pierzchała w popłochu, w bród rzeczki i ukryła się pod osłoną lasu z tamtej strony wioski. Trzynastu jeńców zabrali powstańcy a między nimi rannego dowódcę kolumny, majora Nikiforowa.

Czachowski uwijał się przez cały czas bitwy pomiędzy rozrzuconą linją tyraljerską i niebaczny na bezpieczeństwo własne, wystawiony na gęste strzały nieprzyjacielskie, zagrzewał do postępywania naprzód.

Gdy się dowiedział, że Nikiforow wpadł w nasze ręce zsiadł z konia, zdjął czapkę i spojrzawszy w niebiosa rzekł:

»Pan Bóg sprawiedliwy«!

Z południa wrócił zwycięzki oddział do obozu w »Piekło«, gdzie pozostała reszta powstańców przywitała nas z entuzjazmem.

Czachowski zwołał zaraz sąd wojenny, przed którym postawiony Nikiforow został uznany winnym zbrodni podpalenia, morderstwa i bezprzekładnego okrucieństwa, a w następstwie tego skazany na karę śmierci przez powieszenie.

Przed zachodem słońca wykonano wyrok na zasądzonym i stało się zadość sprawiedliwości ludzkiej.

Edward Webersfeld.

Nie zginie krew przelana!

Nie zginie krew, przelana w słusznej sprawie,
Choć ludzie źli śmia bluznić jej świętości,
Lecz wyda plon, początek dając sławie,
Węgielny gład położy dla wolności!

Więc Polsko żyj! w twojej piersi męstwo gości,
Wszak walczysz wiek, w rozdartej bytu nawie,
A walka ta już przeszła w krew i kości;
Nie zginie krew, przelana w słusznej sprawie!

Bluznierców ród z szatanem sprzął się prawie,
By hańbić tych, co dali krew z miłości;
Dziś Polskę sam wróg wiedzie ku poprawie,
Choć ludzie źli śmia bluznić jej świętości!

I wejrzał Bóg na Naród z wysokości,
Zapisał snąc w swej księdze: »ja go zbawię«
A polski trud nie zginie wśród gnuśności,
Lecz wyda plon, początek dając sławie!

Zrozumie to, kto płynie na tej nawie,
Zaprzeczy, w kim przewrotna dusza gości;
Nie oręż w snach, lecz praca, ta na jawie
Węgielny gład położy dla wolności!

Nie zginie krew, przelana w słusznej prawie,
Choć ludzie źli śmiać bluźnić jej świętości,
Lecz wyda plon, początek dając sławie,
Węgielny gład położy dla wolności!

L. G. Dziubiński.



Posterunek przed Mrkalje.

Byla czwarta nad ranem, jednak czarna noc zimowa okrywała jeszcze swym płaszczem skaliste, śniegiem pokryte załomy Puha-gory. Na niebie obleczonem chmurami nie widać było ani jednej gwiazdki i posępną i pustą wydawała się cała dzika okolica. Ale pustą nie była ona wcale podówczas...

Za olbrzymim wiszarem płonęło niewielkie ognisko, a naokoło niego leżeli i siedzieli pokuleni na śniegu żołnierze. Przy samym ogniu, trzech austriackich oficerów okutanych w płaszcze i kapuzy, wiodło przyciszoną rozmowę.

— Jak myślisz panie kapitanie? pytał jeden z nich starszego, brodatego mężczyznę, dowódcę oddziału. — Doczekamy się insurgentów czy nie?

Zapytany otrząsł popiół z cygara i pokiwał głową.

— Któż może wiedzieć!... prawdopodobnie; doniesienie było wyraźne: »Ivon Sputcic zbiera powstańców na Pletari« i pociągnie z nimi przez Ulobić-planinę na Kikalo i Mrkalje«... Zatem, tędy przechodzić powinni...

— Tak — wtrącił drugi porucznik — ale my czekamy na nich już od dwudziestu czterech godzin, a ich jak nie ma, tak nie ma!

— Możliwy sądzić, że tęsknisz za nimi Praunwitz? — zapytał kapitan uśmiechając się lekko.

— To naturalne! Od dwu miesięcy jesteśmy na terytorium objętym powstaniem, codzień dochodzą nas ze wszęch stron wieści o krwawych utarczkach i spotkaniach, prawie wszyscy koledzy z pułku byli już w ogniu a ja, dotąd jeszcze bośniackiego prochu ani wachałem!

— Ja nawachałem się go dosyć jako kadet jeszcze, w czasie okupacji, odezwał się pierwszy porucznik. Byłem pod Banialuką i przy wzięciu

Serajewa, lecz przyznam się, że wolałem tamtą kampanię. Była więcej regularną i bardziej do prawdziwej wojny podobną... ta jest więcej rozdrobiona i partyzancką, a więcej okrutną i straszną... Zdawałoby się, że tym ludziom z czasem zawziętości i dzikości przybyło!...

Na chwilę ustała rozmowa. Mokre gałęzie dorzucane do ogniska syczały i tliły się leniwie; od wschodu, od Vucevo-brda i Driny wiał lekki wietrzyk, zwiastujący bliską jutrzeńkę.

Kapitan przerwał milczenie.

— Odwagi tym szaleńcom zaprzeczyć nie można — mruknął otulając się szczelniej płaszczem — można nawet powiedzieć, że łotry te mają w sobie coś ze średniowiecznego bohaterstwa i zdolni są do wzniosłych poświęceń; jednak, nie brak między nimi i prostych wisielców!...

— Przykładem ów Topon Sputic, który nam rodzzonego brata zadenuncyował! — zawołał porucznik Praunwitz.

— Opowiadano mi w Focy całą historię — rzekł drugi oficer — nie wiem tylko, ile jest w niej prawdy?...

— O stosunku braci Sputiców do córki Kobac-bega?

— Tak; młodszy, Topon, miał ją poślubić... dzień wesela był już ułożony, gdy w tem, zjawił się starszy Ivon, pozyskał sobie rodziców i zabrał bratu z przed nosa dziewczkę... Działy się podobno rozmaite roman-sowe awantury; dziewczka chciała uciekać, Topon chciał się życia pozbawić, lecz skończyło się na tem, że poprzysiągł zemstę straszną bratu... Ma go od tej pory na każdym kroku prześladować i ścigać... Obecnie znalazł łatwy sposób wykonania swej przysięgi, oddając go w nasze ręce...

— Jest to z naszą korzyścią — przerwał kapitan — gdyż Ivon Sputic wiele nam już dotychczas krwi napsuł... lecz, w każdym razie ten Topon to... wisielec!...

W tej chwili od strony wysuniętej naprzód placówki rozległo się wołanie:

— Halt! Wer da?

Oficerowie zerwali się na równe nogi, żołnierze chwycili za broń i stanęli w ordynku. Zapanowało pełne niepewności oczekiwanie, podczas czego podoficer pogotowia, wzięwszy ze sobą jednego żołnierza, posunął się w kierunku, z kąd ozwało się wołanie.

Słychać było skrzyp zmarzłego śniegu pod stopami oddalających się zrazu wyraźny, potem słabszy, wreszcie wszystko ucichło. Oficerowie i żołnierze z naprężoną uwagą wsłuchiwali się w ciszę, nie wiedząc, czy już w następnej minucie nie przerwą jej groźne okrzyki i huk wystrzałów?

Ale dobiegł ich tylko przytłumiony odgłos krótkiej rozmowy, poczem śnieg znowu skrzypieć zaczął i za chwilę wyłonili się z ciemności wysłani do placówki żołnierze.

Przed nimi szedł młody bośniak ze skrepowanemi na plecach rękami. Kroczył śmiało, a gdy stanął przed kapitanem, w kręgu światła, jaki rzucało

ognisko, obecni mogli podziwiać jego wysmukłą, dorodną postać i strój niezwykle dostatni jak na prostego wieśniaka.

Krótki jego kaftan podbity był wilczem futrem, czerwony pas przetykany złotem, a rękojeści handzaru i pistoletów zatkniętych za pasem, obsypane drogiemi kamieniami. Wyglądał na syna bogatego bega i wogóle byłby uczynił dodatnie wrażenie na patrzących, gdyby nie posepność śniadej jego twarzy i ponury wyraz głęboko osadzonych oczu, patrzących uparcie ku ziemi.

— Kto jesteś? — zapytał kapitan, mierząc przybyłego surowem spojrzeniem.

Zapytany podniósł oczy i utkwiał je w twarzy oficera.

— Jestem Topon Sputic -- odrzekł.

Na dźwięk wymienionego nazwiska powstało żywe poruszenie naokół, a w minach oficerów odbiło się zaciekawienie, połączone z lekką pogardą.

— Czy masz przy sobie coś, czem mógłbyś dowieść, że rzeczywiście tym jesteś, za kogo się wydajesz? — badał dalej kapitan, nie okazując jednak żadnego wzruszenia.

Usta bośniaka skrzywiły się do słabego uśmiechu.

— Tak, gospoda! mam... nowe wieści o powstańcach!...

— Mów!

— Za godzinę, równo ze wschodem słońca, z trzech stron na was uderzą...

— Jakto? tak wielu ludzi ma pod sobą brat twój?...

Bośniak wstrząsnął się cały i wyprostował groźnie.

— Mój brat?! Jok, gospoda! To nie brat mój, ale wróg ciężki, oby go sejtan udusił!...

Ściągnęła twarz skurczyła się przy tych słowach, oczy zabłysły złowrogo, a z pod warg wyskoczyły dwa rzędy kłów białych, ostrych jak u wilka. Lecz trwało to krótko; wnet uspokoił się i dał odpowiedź na postawione pytanie.

— Ivon Sputic połączył się wczoraj na Ulobić-planinie z oddziałem Stauka Srdjevića, 200 głów liczącym i obaj, wiedząc o tem, że tylko jedną kompanią przeciw nim wysłano, postanowili otoczyć was i zaatakować równo ze wschodem słońca z trzech stron: od Vucevo-brda, od Perusicy i od Ulobić-planiny. Pierwszy zaatakuje was Srdjević od Kucevo-brda, będzie to jednak tylko atak pozorny, wykonany z siłą zupełnie nieznaczną; z chwilą, gdy się zwrócicie przeciw niemu, Ivon z całym oddziałem uderzy na was od Ulobić-planiny i Perusicy ..

Kapitan wpatrywał się podejrzliwie i badawczo w mówiącego.

— Jeśli łżesz -- zauważył sucho -- pod drzewo i, kulka w łeb!

Bośniak wzruszył pogardliwie ramionami.

— Jeśli mnie nie uwierzycie, jutro was nie będzie!

Zapanowało głucho milczenie. Kapitan stał przez chwilę niezdecydowany, potem skinieniem ręki przyzwał oficerów bliżej ku sobie i pocichu wydał im stosowne rozkazy, wyluszczając zarazem plan przyszłego działania. Plan był bardzo prosty; 50 żołnierzy pod dowództwem Praunwitza miało pozostać nadal w pozycji dotychczas zajmowanej, dla wprowadzania w błąd nieprzyjaciela, zaś reszta kompanii cofnąć się miała na Sniesnica - planinę, ażeby w danej chwili z boku uderzyć na atakującego Ivona Sputica.

Zanim spełniono wydane rozkazy kapitan przywołał jeszcze raz przed siebie Topona.

-- Słuchaj -- przemówił doń — powiedz mi otwarcie co cię skłoniło do tego, że przyszedłeś nas ostrzedz?

— Gdyby Iwon Sputic dziś zwyciężył, ja musiałbym długo czekać na sposobność zemśczenia się na nim! — odparł Topon otwarcie.

Kapitan pokręcił głową, ale nic więcej nie powiedział, wydał tylko dodatkowy rozkaz Praunwitzowi, aby Bośniaka jako jeńca zatrzymał przy swym oddziale aż do dalszego zarządzenia. Następnie pociągnął ze swoimi ludźmi na umówione stanowisko.

Wiatr wiejący od wschodu stawał się coraz silniejszy i mroźniejszy, powietrze zdawała się przepelniać jakaś mgła gęsta, sinawa, — szarzało.

Porucznik Praunwitz z pospiechem szykował swój oddział.

Od Vucevo - brda oddzielała go głęboka przepaść i wązki grzbiet skalisty a nadto ściana wiszaru, tak, że z tej strony mógł być dość zasłonięty przed ogniem nieprzyjacielskim i małej tylko liczby żołnierzy potrzebował dla zabezpieczenia sobie tej flanki; główną uwagę poświęcił prawej flance i frontowi. Rozpuszczeni w tyralierkę żołnierze wyszukiwali tam sobie zawczasu miejsca, z którychby sami możliwie kryci, nieprzyjaciela skutecznym ogniem razić mogli.

Poprzytulani do rozrzuconych naokół głazów, powciskani w napotkane załomy i szczeliny, odbijali od śniegiem i mgłą pokrytej przestrzeni jak wydłużona, wygięta, z szarawych płatków złożona linia.

Praunwitz, ściągawszy placówkę, już niepotrzebną, stanął pod ścianą wiszaru i rozglądał się bacznie dokoła, usiłując przebić wzrokiem otaczającą go mgłę i ciemności; ale dalej jak na 20 kroków rozróżnić nie mógł przed sobą. W naturze panowała zupełna cisza, nic jej nie zakłócało, tylko czasami, daleko, daleko, od lasów na Rujevac - planinie dawało się słyszeć przeciągłe wycie wilczej rui...

Ułynęła w ten sposób godzina, długa jak wiek dla oczekujących.

Mgła stała się rzadsza i przejrzystsza, na wschodzie tylko zabarwiła się odcieniem różowym a w ślad zatem, szczyty Vucevo - brda wynurzyły się z pomroki, obramowane u góry rąbkami złocistym...

Słońce wschodziło powoli.

Żołnierze z zapartym w piersiach oddechem zwracali oczy ku niemu; wiedzieli że nie dla jednego z nich wschodzi ono po raz ostatni! Ale żaden

odgłos podejrzany nie mącił spokoju, żadnego ruchu na wzgórzach pobliskich dojrzeć nie było można!

Nagle... Topon Sputic, którego Praunwitz tuż przy sobie pod strażą trzymać kazał, podniósł się z głazu, na którym siedział i wyciągnął szyję słuchając.

— Idą... — szepnął po chwili oczyma na wschód wskazując.

Oficer wyteżył wzrok w podanym kierunku, lecz niczego nie dojrzał.

Vucevo-brdo przedstawiało się jak olbrzymia, wypukła, biała płaszczyna, której wynioślejsze punkty oblane wschodzącym słońcem, świeciły niby liczne drobne ogniki rozrzucone po śniegu... nigdzie nie było tam widać ani śladu człowieka! Grzbiet skalisty tuż za przepaścią oddzielającą Vucevo-brdo od Puha-gory, wyglądał równie pusty i martwy; koszlawe krzewy jałowcu i karłowate dęby rosnące na jego szczycie, zdawały się drzemać jeszcze nieprzebudzone.

— Gdzież widzisz tam kogo? zapytał Praunwitz po cichu — tam nikogo nie ma!

— Idą... — powtórzył Bośniak, wsłuchując się uparcie w jakieś dla niego tylko pochwytny odgłosy.

Jakoż w tej chwili, między krzakami jałowcu za przepaścią, coś się ruszać poczęło, coś, niby cienie niewyraźne przesuwając się poczęły od jednego dębu do drugiego; lecz cisza zupełna leżała jeszcze w powietrzu i sądzićby było można, że to tylko gra mgły i światła, złudne dla wzroku sprowadza widziadła...

Naraz, po szczycie grzbietu przeleciał niby wężyk ognisty i, kilkadziesiąt strzałów huknęło ztamtąd.

Praunwitz nie wątpił dłużej. Doniesienie Topona było prawdziwe. Stanko Sdjević rozpoczął atak.

— Ognia! — zakomenderował żołnierzom, którzy stanowili lewe jego skrzydło.

Z obu stron zagrzmiały teraz strzały; zrazu rzadkie, potem szybsze, z każdą chwilą gęściejsze i mniej regularne. Sinawy dym przepelnił wkrótce powietrze, a zmieszany z mgłą, co nie zdołała jeszcze pierzchnąć całkowicie, przykrył niby pomostem przepaść dzielącą oba wzgórza, tak że zdawało się, iż bośniakom nie przeszkadza rzucić się naprzód i zmiażdżyć jednym zamachem słabego liczbą wroga. Ale nie myśleli nawet o tem, strzelali tylko ustawicznie, podnosząc od czasu do czasu przeciągłe okrzyki:

— Vej! vej! udri go szwaba!*)

Ich strzały, choć celne, dla dość znacznej odległości nie sprawiały jednak wielkiej szkody. Na samym początku walki padł trupem jeden żołnierz, w dalszym ciągu, dwóch innych odniosło lekkie rany. Kule leciały gęsto i, co chwila płatki zmarzłego śniegu strącane kulami z wiszarów

*) Biada! bij niemca!

spadały na głowy i twarze żołnierzy. Praunwitz chyłkiem przesuwiał się, z jednego miejsca na drugie, śledząc, aby żaden ruch nieprzyjacielski nie uszedł jego uwadze. Zauważył też niespodzianie, żywe poruszenie między nimi i była chwila, iż sądził, że chcą na przepaść niebaczni do szturm uderzyć.

— Szaleńcy! — mruknął, lecz w tym samym momencie, gwałtowny huk strzałów na prawem skrzydle wytłumaczył mu przyczynę owego poruszenia.

— Ivon Sputic z główną siłą następuje!...

Nie zwracając uwagi na gradem lecące pociski, pędem rzucił się ku zagrożonej pozycji.

Tam przedstawiała się sytuacja o wiele inaczej.

Naprzeciw garstki żołnierzy wysunęły się z za stoków wzgórza, zwarte szeregi bośniackie i korzystając z nierówności gruntu posuwały się szybko naprzód, zacieśniali coraz bardziej półkole, mające zgnieść w swych ramionach nienawistnych »szwabów«. Było widocznem, że dłuższy opór będzie niemożliwy i Praunwitz z rozpaczą spoglądał w stronę Sniesnicy, czy umówiona odsiecz nie nadchodzi? Lecz Bośniacy doszedłszy do odkrytej płaszczyny, gdzie ich już nie przed strzałami żołnierzy nie zasłaniało, zatrzymali się i również rozpoczęli ogień.

Palba była gwałtowna, a mała przestrzeń, dzieląca przeciwników, przyczyniała się do tego, iż trup padał gęsto. Za kilka minut trzecia część żołnierzy była zabitych lub rannych; jednak zawziętość ogarnęła pozostałych. Rozumieli, że ocalenie ich polega na tem, aby wytrwali na stanowisku. Gdyby się o krok cofnęli, Bośniacy runą za nimi i w puch na handżarach rozniosą. Jakoż podnosili się Bośniacy już kilkakrotnie z ziemi z dzikim okrzykiem:

— Ku handżaru!... ku handżaaaruuuu!...

Jednakowoż za każdym razem celny ogień żołnierzy zmuszał ich do zatrzymania się w miejscu. Padali na ziemię i znowu zaczynała się palba, tylko gorętsza i straszniejsza niż pierwej.

Sród szeregów bośniackich uwijał się jak salamandra w ogniu młody junak z czarną na wiatr rozwianą brodą, bez czapki na głowie, a z kindżałem nagim w zębach. Krzykiem krótkim, urywanym, dodawał swoim odwagi i do boju ich zachęcał.

Znać w nim było na pierwszy rzut oka dowódcę.

Żołnierze brali go na cel, lecz kule się go nie imaly.

— To Sputic! — rzekł do siebie Praunwitz — ten musi zginąć, inaczej, my zginiemy...

I podniósłszy się na łokciu z ziemi, zaczął wołać jak mógł najgłośniejszym, aby przez huk wystrzałów być usłyszany:

— Kapral Marko! do mnie! do mnie!...

Kapral, najlepszy strzelec w pułku, na czworakach przyczołgał się do niego.

Widzisz tego tam, z brodą! — zawołał Praunwitz — jeśli go trafisz, dukat i awans! ale spiesz się!

Kapral przyklął za głazem, przyłożył kolbę do ramienia i... w tej chwili, trafiony kulą w czoło padł na wznak, krwią swoją obryzgując oficera.

Praunwitz sam chwycił za karabin; był również niezłym strzelcem; w chwili jednak, gdy się chciał złożyć, ktoś go zębami pociągnął za rękaw. Był to Topon Sputic.

— Gospoda! — rzekł, a twarz miał skurezoną i oczy świeciły mu zło-wrogo — rozetnijcie mi postronki; ja... ja go trafię...

Oficer zawahał się przez jedno mgnienie oka; mimo straszego położenia, w jakim się z ludźmi swymi znajdował, uczuł instynktowy wstręt do tego, aby bratu na brata broń do ręki podawać; lecz przewyciężył się natychmiast i szablą przeciął więzy bośniaka.

— Strzelaj, gdy chcesz... ale trafiaj!

Topon pochwyił gorączkowo, porzucony na ziemi karabin i położywszy się na brzuchu, zaczął mierzyć pomału, uważnie. Kilka razy broń spuszczał i znowu ją do oka podnosił, widać było, że postanowił nie zmarnować strzału. Mierzył długo, wreszcie, drgać począł całym ciałem i niespodziewanie broń precz cisnął od siebie. Twarz miał bladą i wargi trzęsły mu się jakby ze strachu.

— Gospoda! — zawołał głucho — nie mogę strzelać... mógłbym trafić kogo innego, a ja tylko jego chcę zabić!...

Praunwitz już słów tych nie słyszał, gdyż właśnie Bośniacy podnieśli się do nowego szturm, a ich gromki okrzyk: »Ku handżaru!« nawet grzechot strzałów zagłuszył.

Biegli też naprzód, zwartą ławą, i choć padali gęsto, nie zatrzymywali się już więcej. Najwięcej dwieście kroków dzieliło ich jeszcze od żołnierzy, tak, że ci, przez poszarpane obłoki dymu rozróżniać już byli w stanie pojedyncze twarze — rozgrzane walką, zawzięte, straszne...

Praunwitz uznał, że stanowcza chwila nadeszła i jak błyskawice przemykały mu po głowie myśli: co się dalej stanie?... co będzie, gdy kapitan natychmiast z pomocą nie przyjdzie?...

Lecz pomoc w sam czas nadeszła. W decydującym momencie zagrzmiały na prawem skrzydle liczne strzały i ozwało się: »Hurrah!« świeżo do walki przybyłych żołnierzy.

Idąca naprzód ława Bośniaków zatrzymała się naraz. Skłębila się i zachwiała, jak chwieją się dęby podcięte u dołu, zanim z trzaskiem zwała się na ziemię.

Niespodziewany atak ze strony, z której się żadnej napaści nie obawiali, zmieszał ich i zrodził myśl, że otoczeni są przeważnymi siłami, którym oporu stawić nie zdołają, a tem mniej myśleć mogą o ich zwyciężeniu... Prażeni z dwu stron gwałtownym ogniem, cofnęli się i, zanim jedna minuta minęła, poszli w rozsypkę...

Napróżno Ivon Sputicz grzmiącym głosem przywoływał ich do siebie! nie ich już zatrzymać nie mogło... Wyjąc nieludzko o zdradzie, uciekali w dzikim popłochu, a trupy ich uścielały raz koło razu stok wzgórza.

Żołnierze posuwali się za nimi, strzelając bezustannie, nie dając im chwili wytchnienia. Już mowy być nie mogło o dalszej utarczce... Oddział Ivona Sputicza przestał istnieć!...

W pół godziny potem, na Puha-gorze umilkły ostatnie strzały i żołnierze, przejęci jeszcze bojowym szałem, odurzeni zwycięstwem, zbierać się poczęli w szeregi.

Wiwatowali przytem, śmiali się, ściskali i śpiewali.

Kapitan z oficerami stał nad brzegiem przepaści i lornetą wodził dookoła. Pusto było wszędzie, tylko na samej Puha-gorze śnieżna płaszczyna stratowana nogami, pokryta była krwawymi plamami, a wśród plam tych czerniały trupy poległych. Ranni podnosili się mozolnie na rękach z ziemi i jękiem wzywali litości. Niektórzy dręczeni bólem, pełzali i wili się po śniegu...

Ale jęki ginęły wśród chóru radośnych okrzyków... na razie nikt ich nie słuchał, chyba tylko sępy, których kilka krążyło wysoko w górze wieńcząc żer...

Oficerowie omawiali szczegóły potyczki a tak byli tem zajęci, że nie spostrzegli jak zbliżył się do nich Topon Sputicz.

Był zmieniony do niepoznania. Zgarbił się i pochylił, ledwo włókł nogi za sobą; na twarzy jego cierpienie i żal czarny, nieutulony wyryły ponure piętno.

Zbliżył się i stanął opodal.

— Gospoda -- przemówił po krótkim milczeniu, zwracając się do kapitana — doniesienie moje było prawdziwe i, przydało się wam... pozwólcie mi odejść!...

— Jesteś wolny i możesz iść — odpowiedział mu kapitan — sądzę jednak, że dla twego bezpieczeństwa lepiejby było, gdybyś z nami pozostał. Mógłbyś dostać się do Foczy, a zamtąd, dalej...

Topon głową pokiwał.

— Ja tutaj zostać muszę, aby *jego* dalej śledzić... Cała moja zdrada na nic się nie zdała — on uszedł!

Lecz gdy słów tych odmawiał, wzrok jego padł na kilku jeńców bośniackich bitych przez żołnierzy kolbami i wleczonych w pętach przed kapitanem. Na ich czele szedł junak z czarną brodą, wódz powstańców. Ręce miał na plecach skrepowane, z przebitego bagnetem policzka krew mu ściekała szeroką, zapiekłą struną, jednak głowę niósł hardo do góry wzniesioną a z oczu strzelały mu błyskawice nienawiści i dumy.

— A! — ryknął Topon — pojмали go przecież!... nie uszedł!... a!

I niby zwierz dziki poskoczył naprzód; ale jedno spojrzenie brata przygwoździło go do ziemi.

— Dobro utro bratzi! — przemówił don Ivon, głosem spokojnym i zimnym napozór.

Topon nie odpowiedział, odwrócił się do kapitana.

— Gospoda! — wołać począł namiętnie — to Ivon Sputicz! — to przewódca buntowników! nie dajcie mu ujść!.. według waszego prawa powinien zginąć na szubienicy!

Kapitan wzdrygnął się na taką zawziętość, a Praunwitz mruknął półgłosem, choć dość wyraźnie:

— Kanalja!..

Jednak kapitan opanował się natychmiast i przyzwał przed siebie pojmanego wodza bośniaków.

— Ty jesteś Ivon Sputicz? — zapytał.

— Ja jestem.

— Wiesz co cię czeka?

— Wiem.

— Zostaniesz odstawiony do Foczy, a tam sąd wojenny i...

Nie dokończył, zakręcił się na pięcie i wydawać począł oficerom rozkazy dotyczące grzebania poległych i opatrunku rannych. Lekko ranni iść mieli piechotą za oddziałem, dla ciężko rannych zarekwirowano podwody z Mrkalje.

Dzień się już zrobił zupełny. Mgły znikły, a złote słońce stanawszy nad Rujewac-planiną lało potoki światła na śniegiem pokryte wzgórza i tysiącem promieni przebiegało pobojuwisko, zaglądając w oczy każdemu z poległych, jakby chcąc się przekonać: który z nich żyje jeszcze, a który usnął na zawsze... Żołnierze również krzątali się wśród trupów. Rannych opatrywano naprędce, zabitych na bok odciągano i składano na dwie kupy; osobno żołnierzy, osobno Bośniaków; chłopci z Mrkalje, po których posłano, mieli dla nich doły kopać.

Kapitan z kolei przesłuchiwał jeńców. Gdy już badania ukończył i chciał oddalić się od nich, Ivon Sputicz krokiem naprzód postąpił.

— Gospoda! — rzekł — zanim mnie ztąd zabierzecie, pozwólcie, niech jeszcze z bratem moim kilka słów, tak, w cztery oczy pomówię..

— Boga mi, nie mam mu nic podejzranego do powiedzenia... — dodał prędko, widząc wahanie na twarzy oficera. — Słów tylko kilka od ojca... pozwólcie... molim was!

Kapitan skinął na Topona, aby się zbliżył, a sam z żołnierzami usunął się nieco na bok.

Bracia stali teraz o kilka kroków naprzeciw siebie; Topon nad brzegiem urwiska, Ivon pod ścianą wiszaru.

Długą chwilę mierzyli się wzrokiem w milczeniu, wreszcie Ivon przemówił:

— Dwukrotnie zdradziłeś nas Toponie!

— Zdradziłem cię, bo chciałem, abyś zginął podłą śmiercią, z rąk szwabów!..

I znowu zapadło milczenie. Przerwał je po raz drugi Ivon.

— Pamiętasz Toponie, Banim-han w dębowym gaju na Crnim-vrchu? Urodziliśmy się w nim obaj. Przedwczoraj, byłem tam, na głowę moją cenę wyznaczono, więc z narażeniem życia poszedłem... stary ojciec umierał, musiałem pójść... Skonał na moich rękach i kazał mi tobie powiedzieć Toponie, że: upiorem na świat ten powróci i ścigać cię będzie, gdzie krok tylko zwrócisz i, będzie krew twoją żywą po nocach wysysał...

— Dobrze! — odparł Topon blademi usty, usiłując uśmiechnąć się.

— Mówił przed śmiercią — ciągnął dalej Ivon — że Topon nie jest jego synem! »Żaden prawy bośniak nie uczyniłby tego co on« .. mówił... »Gdy żał miał do brata, że go ubiegł przy dziewczce, niechby był zebrał junaków i przemocą porwał mu żonę!... niechby był wreszcie szukał z nim spotkania i na bój go wyzwiał!... Ale on tego nie zrobił... on wolał być zdrajcą, wolał pohańbić świętą sprawę, wolał szwabom dla pomsty swojej służyć!... i dla tego, niech będzie przeklęty po wieczne czasy! niech dzieci i wnuki jego będą przeklęte! niech jak pies marnie zginie, gdyż dla dziewczki nie sprzedaje się wiary ani ojczyzny!« Słyszysz Toponie? to ojciec ci kazał powiedzieć!

Topon milczał, zwiesiwszy głowę na piersi.

Po twarzy Ivona przemykały tymczasem jedna za drugą czarne chmury, niby zamasty jakieś ciężkie.

— Módl się — rzekł wreszcie do brata — módl się i żałuj za twoje grzechy.

Topon podniósł głowę i zuchwale potoczył wzrokiem.

— Ty sam módl się! ty prędzej zejdziesz z tego świata! Pojutrze wisieć będziesz na szubienicy w Foczy... a ja będę patrzył na ciebie i na twoje męki i wołać będę wtedy głośno, że się raduje serce moje!...

— Nikt swego dnia i swojej godziny nie pewny! — odparł Ivon ponuro. — Sprawiedliwość różnemi chodzi drogami a nikt się przed nią nie wywinie!... Toponie! ojciec kazał mi jeszcze powiedzieć tobie, że w godzinie śmierci twojej zjawi ci się od strony Banim-hanu i stanie przed tobą, aby ci złorzeczyć!... Patrz! patrz! ja widzę go!... oglądaj się tylko za siebie!... zstępuje z chmur i idzie tutaj..

Topon machinalnie głowę odwrócił.

Wówczas Ivon, jednym skokiem rzucił się naprzód, a mając ręce związane, ciężarem własnego ciała pchnął brata.

— Dla dziewczki nie zdradza się ojczyzny! — krzyknął dziko i obaj runęli w przepaść...

Poskoczyli żołnierze na ratunek, lecz zapóźno już było! W czarnej czeluści nic się nie poruszyło, żaden głos, żaden jęk nie doszedł ztamtąd — tylko ostatnie słowa Ivona odbite od skalnych szczytów zaszumiały niewyraźnym echem nad śniegiem i trupami pokrytą Puha-górą...

Izidor Kuncewicz.

PRZY KOMINKU.

(GAWĘDKA).

Siedzi sobie przy kominku
Starzec czerstwy, siwowłosy,
I gdy pali swą fajeczkę, —
Młodzi palą — papierosy.

Patrząc na to, mówi starzec:
Fajka wygląd ma zimniejszy,
Lecz się pali stokroć dłużej,
Jak papieros wasz dzisiejszy.

Tak i miłość ku ojczyźnie —
Mimo zmiennych, ciężkich losów,
Była trwalszą — od tej waszej —
Co los dzieli — papierosów.

Jeden, drugi, wypalony —
Leci z waszych rąk jak z procy —
A to znakiem nerwowości, —
Zmiennych zasad i niemocy.


Co raz nowe te programy
Mają zmienić nasze losy,
Więc je kleją — i rzucają --
Jak wy wasze — papierosy.

Ja się tedy fajki trzymam
Tej, mej starej — od lat wielu —
Która pierwiej — jak papieros
Stanie ze mną do apelu!

AS.



CZEGO PRAGNĘ.

zego pragnę?... Ej! powiecie
Gdy wyliczać zacznę:
Że mam jak kapryśne dziecię,
Zachcianki dziwaczne.

Pragnę nieraz, dumki jasnej
Co promienna, złota...
Czasem chciałbym w duszy własnej
Nie znać co tęsknota.

Czasem chciałbym znowu wrócić,
W czas zbiegły, daleki...
Lub w niepamięć przeszłość rzucić,
Zapomnieć na wieki.

Obcy ludzie, obce kraje
Nie złamią tęsknoty —
Gdy wciąż w myśli przeszłość staje
Jak sen jaki złoty.

Cóż z tem począć! gdy z rozkoszą,
Gdzie Dniepr szumi siny,
Myśli z sercem się unoszą,
W stepy Ukrainy!

Gdy się próżno za tem goni,
Co się w przeszłość skryło,
Gdy przyjaznej brak ci dłoni
Tych co pod mogiłą!

Gdy nie można w bratnim gronie,
Na rodzinnej ziemi,
Z dawnem czuciem jeszcze w łonie,
Odżyć między swemi...

Zgłuszyć nieraz chcąc tęsknotę,
Chciałbym z szczerą chęcią
Z przeszłych wspomnień, chwile złote,
Wydrzeć z mej pamięci!

Gdy więc chmurno i grobowo,
W serca mego cieśni,
Chwytam lirę i nanowo
Stroję ją do pieśni.

Nieraz łudząc się przez chwilę,
Gdy smutno do koła,
Że dźwięk pieśni, będzie w sile,
Chmurę rozwiąć z czoła!

Lecz, gdy bolem piers zatruta,
Z martwej liry drewna,
Nie chce płynąć inna nuta,
Jak tęskna i rzewna!

Tęskna nuta tylko wznieci,
Smętnych wspomnień wiele...
A ja w piosnkę — co w świat leci
Chciałbym wlać wesele!

Bo gdy dźwięk jej ku Dnieprowi,
Popłynie z wichrami...
Chcę! niech druhów mych pozdrowi
Uśmiechem, nie łzami!

Nut wesołych dusza łaknie!
Lecz jak zwykle zdarza,
Lira nie da, gdy ich zbraknie
W duszy u pieśniarza!

Klnę więc lirę i jej dźwięki
Klnę, ile mam siły!...
Za jej nastrój do piosenki,
Smętny i nie miły!

I znów pragnę najgoręcej,
Struny liry rzucić
Z piosnką zerwać!... by już więcej
Do niej nie powrócić!

Edmund Łoziński.



Na chlebie gromady.

(Autentyczne).

Wszystkich dworach szlacheckich i dworkach roiło się od powstańców, którzy dziś przybywali a nazajutrz szli dalej ku granicy Królestwa. Patrole żandarmerji i rewizje urzędów powiatowych nachodziły sioła i weszły za „*Insurgentami*“, lecz nieszczęśliwą mieli rękę, ponieważ w najlepszych dla nich razach przychwycili tego lub owego, który chciał, żeby go przyaresztowano. bo gdy pierwszy zapal wojenny ulotnił się u takiego szermierza, przyjemniej mu się uśmiechał spokojny zakątek w domu ojca nad trudy i niebezpieczeństwa partyzantki.

W owych czasach ogólnego ruchu gościł prawdziwie polski dwór pp. Leszczyńskich w Turzem-polu pod Brzozowem, kilkunastu powstańców, których przetrzymywał przez kilka tygodni, bo oddział Gieszkowskiego, do którego byli przeznaczeni, zwolna się organizował dla braku broni i amunicji.

Było to w miesiącu Sierpniu 1863.

Jednej Niedzieli, około południa, zjawił się przed dworem wójt gminy z trzema gospodarzami i czekali na powrót dziedzica z kościoła.

Gdy nadjechał powóz pozdejmowali włościanie kapelusze z głowy i skłoniwszy się państwu prosili przez usta wójta żeby: »Wielmożny dziedzic udzielił im posłuchania w rzeczy co ich markotno dotyka«.

— Cóż tam takiego zaszło panowie sąsiedzi? zapytał ś. p. Leszczyński stanąwszy pośród włościan.

Wójt skłonił się do kolan, ujął dziedzica za nogi i rzekł:

— Wielmożny Panie dziedzicu! We dworze jest aż kilkunastu paniczków co to niby idą do powstania ..

— Więc cóż? zapytał zaciekawiony Leszczyński.

— Krzywda się dzieje gromadzie i wstyd nam — dodał wójt.
— Mówcie mój wójtce wyraźnie, bo nie z tego wszystkiego nie rozumię.
— Mówiłbym, żeby tylko Wielmożny dziedzic się na nas nie pogniewał?
— Słucham!
— D-yć te dzieci, bo to sama młódź prosi Wielmożnego dziedzica, idą się bić za Polskę! Wszak prawda?

— Tak jest!

— A Polska to niby co? My sobie po chłopsku tak rozumiemy, że Polska to ta nasa święta ziemia, ten nas Pan Bóg na niebie, te nase lasy, nasi panowie i nas chłop polski. Tośma się wczora zebrali we szkole na radę i tak uradzili, że kiedy te panocki idą bić się i za nas, to nam wielka krzywda, coby tylko sam dwór wszystkich ich gościł a gromada nie miała u siebie na swoim zaopatrunku nijakiego. Przychodziwa do Wielmożnego dziedzica i prosiwa Wielmożnego Pana i tych uściwych panicyków, co idą bić Moskala, cobyśmy chociaż ze dwóch mogli mieć w gościnie u gromady, a biedy im nie będzie.

— Więc chcecie, żeby wam odstąpić na kwaterunek dwóch powstańców?

— A chociażby i połowę to się ta nie zlekniemy! Jest Bogu dzięki z czego dać im wygodę, żeby im nie było źle.

— Serdecznie Wam dziękuję poczciwi sąsiedzi i raduję się z serca, z tego poczucia wzajemnego obowiązku z dworem. Ale to już zależy od nich i dlatego spocznijcie panie wójtce i wy zacni gospodarze a ja każę przywołać tych panów.

Niebawem zesłi się zakwaterowani we dworze powstańcy a ś. p. Leszczyński odezwał się w te słowa:

— Moi panowie! oto deputacja gminy, która właściwie do Was przychodzi! Wysłuchajcie ich żądania i postanówcie jak wola. — A teraz panie wójtce mówcie!

Wójt wystąpił na przód, skłonił się do koła i rzekł:

»Juz prosiłem wielmożnego dziedzica a teraz prosię pokornie panocków: Nie róbtą gromadzie hańby i kiej idziecie bić Moskala i za nas i za panów i za naszą ojczyznę, to niech i my możemy pokazać was naszym dzieciom i powiedzieć im: patrzta dziecka! to panowie! a idą bić się zarówno za pańską wolność jak i za chłopską dolę! Ucałujta dzieci te święte ręce i pamiętajcie, że w ziemi polskiej cy pan cy chłop, kiej tylko uściwy Polak to jedno i w najpóźniejsze lata czcicie i sanujcie tych, co się oddają dla dobra kraju. A teraz kto z panicyków rad i chętny pójść na chłopską opiekę? Krzywdy wam nie będzie! i uściwe legowisko i pański pozwywoł i wszystkie wygodny na jakie nas stać, będzietą mieli».

Zamilkł wójt ocierając łzy rękawem sukmany, spłakały się panie, które wyszły podczas tej sceny na werandę i zebrani powstańcy tarli oczy a ś. p. Leszczyński ujął wójta w ramiona i tulił go do piersi.

Tego samego wieczora zakwaterował wójt 4 powstańców w szkole opróżnionej wskutek wakacji i przez pełne dwa tygodnie, aż do naszego

wymarszu na plac zboru, prześcigała się cała gromada w usługach około powierzonych sobie panicków.

A jakie to było pożegnanie!

Starzy gospodarze płakali, żegnając nas znakiem krzyża świętego w niepewną drogę, kobiety brały dzieci na ręce i pokazywały nas mówiąc: »Módlcie się za tych panicyków!» Młódź wiejska odprowadziła nas o całą milę na koniach i przy rozstaniu całowała po rękach.

Tkwi więc w ludzie naszym skra świętego ognia miłości ojczyzny, lecz trzeba ją umieć rozbudzić, rozżarzyć, a buchnie życiodajnym płomieniem.

Tutaj pole dla dworu i szkoły a żyzna to gleba, która obfity wyda plon pożytku dla wspólnej sprawy i zespoli wszystkich do pracy około naszego odrodzenia.

Eduard Webersfeld.



PERŁY.



burzliwej morskiej toni
Szarpiącej smug wybrzeży
Wśród skał i łąw piaszczystych
Perłowa koncha leży.

Do ziemi, jak bez życia
Spokojnie przytulona,
Okruchy zwiru kryje
U zbolełego łona.

A bezustannie pragnąc
Ukrócić swe cierpienia
Powoli w drogą perłę
Gryzący żwir przemienia.

* * *

I ludzkość, która naprzód
Z postępu falą płynie —
W odwiecznej egoizmu
Ukrywa się łupinie.

Opatrzność drobny pyłek
Na muszli kładąc łono,
Byt ciężki dała ludziom
Wraz z żądzą niezgłębioną.

Syn ziemi walcząc z losem,
Jak koncha z ziarnkiem piasku,
Odtwarza perłę czynu
W promiennym szczęścia blasku.

Tadeusz Pełowski.



Przed laty trzydziestu.

Zaroiły się Piastów i Gedyminów bory szermierzami wolności, bojownikami, którym rozpacz wetknęła w dłoń ojców szablice; szcęk oręża odbił się echem o krańce pskowskiej i smoleńskiej ziemi, Wołyń i Ukraina dźwignęły sztandar »za naszą i waszą wolność«, nad Wołgą nawet zahuczał podziemny odgłos wybuchu, a carat potężny zadrżał w swych podstawach!... Wysoko wzbil się znak »Orła - Pogoni«. — Srebrnopióry król ptaków powiódł okiem po obszarze Europy i zwrócił wzrok swój ku zachodniej stronie, badając pilnie, ażali mocarze wielkich narodów nie ciągną z pomocą, nie szlą swych hufców w odsiecz udręczonym. — Cisza i spokój w granicach zachodu; słysząc z dala szmer ludów prących rząda do czynu, widać kuryera mknącego z depeszą, widać licznych dowódców, wielu opiekunów, dyplomatów i protektorów mnożą się zastępy, lecz oręż mocarstw mileczy, broń ich rdzą porasta... Prysły, rozwiały się »Orła białego« błogie sny, nadzieje; pozostał samotny wśród nierównej walki, schylał ku ziemi i znów się podnosił, krążył... szybował... patrzył... nadśluchiwał... i padł omdlały na złane strugami krwi, zdeptane niwy, na zgliszcza dymiące, sioła wyludnione i świeżych mogił olbrzymie szeregi.

* * *

Nieliczny, lecz ufny w siły, ufny w świętość sprawy zastęp spoczywa po forsownym marszu. Broń ustawiona w kozły, w pobliżu dymiące ogniska, obok leżące na murawie gromadki żwawej i ochoczej młodzi, rojącej o szczę-

szej doli na łonie wolnej ojczyzny, w głębi marsowe twarze, którym nie obcym snać świst kul i szabli cięcie, z boku rumaki skubiące młodą trawę, na okół wieniec pikiet kierujących wzrok w dal widnokregu, powabny to zaiste obraz na tle wiosennej przyrody. Z pod rozmaitych to strzech, z rozmaitych okolic zebrane dzieci wspólnej matki — Polski, — w ich gronie tułacze, którzy już mnogie lata u obcych szukali progów gościnności, w ich gronie cudzoziemcy, którzy w imię wolności, swobody stanęli w obronie uciśnionych bliźnich. Ten pierwszy na prawo z odznaką pułkownika — to dzielny oficer potężnej Franków armii. Na odgłos trąbki nad Wisłą podążył Young de Blankenheim w taniec z kozakami. Ten drugi, który tak gorączkowo kręci wąż swój czarny — to ziemi madiarskiej nieodrodne dziecko. Chłopakiem małym poznał on Moskali, chłopakiem małym oplakiwał zgon ojca od kuli moskiewskiej, gdy kule te świstały w Arpadów granicach, dziś przybiegł pomścić śmierć swego rodzica. Ów, który w głębi objeżdża placówki — to brat Słowianin z południowych kresów — to Serb Myskowich, w którego ojczyźnie broń nieodstępną męża towarzyszką, czujność, przezorność i walka z najeźdźcą z dziada pradziada świętem przykazaniem. Tam grono w czerwone ustrojone bluzy smukłego otoczyło towarzysza broni. To Alp czy Apenin mieszkaniec, uczestnik legionów Garibaldiego, który gestem raczej, niżli obcym mu jeszcze Lechitów językiem poucza kolegów o charakterze walki partyzantów. O kilka kroków dalej przysłuchuje się młoda wiara poważnej rozprawie dwóch starszych kolegów. Czoła ich poorane, włos szronem okryty, twarze surowe, głos pewny, donośny i sztywna postawa wskazują na przebyte życia koleje, na przeszłość spędzoną z orężem u boku. Jeden to Zieliński, były oficer artylerii rosyjskiej, co walczył ongi pośród gór Kaukazu, drugi Wodziński, to druh serdeczny tych dzielnych zastępów Otomańskich kozaków, co to »wędziły się stepowym wiatrem, co śniegiem wrosły w kulbaki«. Cóż też dziwnego, iż duch rycerski, gorączka walki i ta przedziwna przodków fantazya, która orle pióra do ramion przypięła usarzy, przenikają młodzież wyczekującą pierwszego chrztu krwawego, pierwszej ogniowej próby, pierwszego zmierzenia sił swoich z wrośłymi w niewoli, żyjącymi w niewoli i w niewoli ginącymi zastępami olbrzyma północy.

* * *

Echo strzałów karabinowych odbiło się w dali donośnie pomiędzy drzewami przyległego lasu. Rota moskiewska przywitała ołowiem konny rekonasans. W lot zrywa się młodzież do broni. Jezdni dosiadają koni — picchota staje w szeregu, a za nią ściskają kurczowo w dłoni swą broń kosynierzy. Kilka słów komendy pułkownika, a pierwsza i druga kompania uderza z werwą na ukrytego w lesie przeciwnika. Choć grunt piaszczysty utrudnia pochód, choć zasłonięci drzewami moskale obsypują celnymi strzałami młodego żołnierza, idzie zastęp walecznych śmiałym krokiem naprzód, idzie i opiera się o krawędź lasu. »Strzelcy i kosynierzy na lewe skrzydło —

otoczyć moskali«! brzmi rozkaz przyniesiony przez adjutanta pułkownika. Na lewym skrzydle mały laszek dogodną stanowi pozycję, toż ustawieni za drzewami strzelcy rażą niezgorsza rosyjską picchotę, oddział kosynierów zaś leżąc na ziemi, wyczekuje bez straty dalszego zlecenia. I znów nadlatuje adjutant z rozkazem, by oddział strzelców awansował ku sągom oddzielnym ugiorem od pierwszej pozycji. »Naprzód« grzmi komenda strzelców kapitana, donośne »hura«! jest odpowiedzią na rześisty ogień, jaki kierują w tej chwili na strzelców Moskale, którzy widząc drobną garstkę nieprzyjaciół, widząc wielu rannych i poległych z całą zaciekłością w tę właśnie rzucają się stronę. W lot otacza garstkę nawała moskiewska, silnym ścisła obręczem i już, już ma ją zgnieść, zdławić, zniszczyć, gdy nagle nadbiega w sukurs z swoim oddziałem znany nam ex-oficer rosyjskiej artylerii. »Kozacze trzymaj się« woła z daleka, poznawszy kolegę sultańskiego ongi znaku i wpada z całym impetem w środek skłębionych szeregów. Ciasno i duszno robi się nagle na pobojowisku. Starcie tak silne, tak bliskie, iż przeciwnicy nie mogąc używać ani palnej broni ani bagnetu nawet, chwytają się za gardła, biją po głowach, w wzajemnym konają uścisku. Nie dotrzymuje Moskwa placu — pęka jej szyk bojowy, pierzchają szeregi w bezładną idąc rozsypkę. Kozacy pod wpływem panicznego strachu rzucają się wplaw przez przyległe jezioro i bądź to toną, bądź giną pod razami pospólstwa oczekującego ich na brzegu z cepami i widłami w ręku. Picchota moskiewska podwinawszy szynelo i wlokąc karabiny umyka co tchu ku pruskiej granicy z wyjątkiem małego oddziałku, który strzelając zasłania sromotny odwrót.

Taki był przebieg chrztu pierwszego partyzantów, taki koniec bitwy stoczonej w Nowej wsi poblizu.

»Górną nasi! niech żyje Polska«! odbiło się trzykrotnem echem o przyległe kresy poznańskiego księstwa, »górną nasi! niech żyje Polska«! odpowiedział z uniesieniem lud poznański zebrany tłumnie u słupów granicznych.

Chwacko spisali się pod Nową wsią partyzanci, nie szczędzili widocznie prochu i ołowiu, skoro sto kilkadziesiąt moskiewskich czapek leżało bezładnie na pobojowisku, a każda czapka na wskrós przestrelona wskazywała, iż strzał trafiał zawsze w głowę. Mnogo też trupów pokrywało zagony. By nie okazać dotkliwych strat swoich, przysypywali Moskale zabitych na prędce ziemią tak, że tu ręce, ówdzie buty widniały tylko wśród piaszczystej równiny. Strata powstańców wynosiła obok rannych przeszło trzydziestu zabitych. Między innymi poległ tam śmiercią walecznych kapitan Nikodem Maryański z poznańskiego Gniewkowa, ongi uczestnik walk Garibaldiego, obok niego zacni koledzy Palewski i Zawidzki.

Wspomniane zwycięstwo Younga nad oddziałem Nelidowa (27. kwietnia 1863) podniosło niezmiernie ducha wśród okolicznego ludu, a wkroczenie wypartego wojska rosyjskiego pod pruską eskortą obok Torunia napowrót w granice Polski dało Francji impuls do upomnień w Berlinie o zachowanie ścisłej neutralności.

* * *

Głęboka cisza, zwiastun gromów, burzy, zaległa wśród wiosennej przyrody. Zwolna bez szmeru pociągnął po zwycięstwie pod Brdów oddział Younga i stanął w lesie obozem. Wkrótce lekki powiew zachodniego wiatru w gwałtowną zmienił się burzę, zatoczył wśród ugorów piaszczystego młyńca, wpadł w głębinę boru, ugiął drzew wierzchołki, miotał gałęziami, świstał, szumiał i wył przeraźliwie, wlokąc za sobą czarnych chmur nawalę. Tuż za burzą nadeszła krok w krok struga zlewy, całunem gradu sypiąc naokoło, a daleka okolica ponurego piętno przybrała obrazu! Bydło domowe rycząc, uszło z pola, zwierz dziki płochliwie uciekł do swej nory, ptactwo dzienne strwożone skryło się w szczelinach, puszczyki i sowy huczając wtórowały grze żywiołów, a w obozie powstańców złowieszcze zaległo milczenie. Stare nawet wiarusy pozwieszali głowy, zmarszczyli czoła na broń spozierając i przemokli do nitki, zmęczeni, znużeni szukali pod drzewem miejsc do odpoczynku. Lecz nie im dziś drzemać po forsownym marszu, nie im dziś do snu kleić swoje oczy; przykre wrażenia, złowrogie myśli płoszą sen z ich powiek.

— »Kapitanie« — rzecze sierżant, ongi pruski wojak, później podoficer u Microsławskiego — »źle ponoś z nami, nie dobry prognostyk, sowy wciąż huczają i wrzeszczą zajadle, będzie z nas jutro pewnie siekanina!...»

Zaświtał poranek... u samowaru ukochanego kolegi, kapitana Libelta zebrało się grono starszyny, rozpraszając wśród serdecznej pogawędki smutne myśli i przecucia. W tem padają strzały placówek i słychać komendę: »do broni! do broni!« Szybko formuje Young swoje oddziały i staje na brzegu lasu, podczas gdy od strony leśniczówki kilkudziesięciu pędzi w cwał kozaków. Przywitani ołowiem cofają się bez straty, za chwilę atoli ponawiają atak, przy którym pod celnymi strzałami spada kilku z koni. Nagle rozlega się rotowy ogień moskiewskiej piechoty, która otoczywszy powstańców czworobokiem bluzga ze wszech stron kulami. Równocześnie zieją kartaczami moskiewskie armaty. Pociski dział ich ryją głęboko ziemię lub muskają sosen wierzchołki a spadające z łoskotem konary, ranią lub kładą trupem przeciwników. Pomimo tego dotrzymują placu; pierwsze kompanie u skrawku lasu stoją jak wytrawny żołnierz. Stoją choć nawala moskiewska coraz to ciaśniejsem ściska je obręczem, stoją zagrzani przykładem mężnego dowódcy. Lecz cóż to za przerażająca wieść przechodzi z ust do ust? co znaczy ten okrzyk zwątpienia wśród walczącej braci?

Young de Blankenheim zginął! zginął dzielny dowódca, co to z iście francuską swobodą zatknawszy czerwoną czapczkę na pałasz, niby czarowną chorągwią, sztandarem, wiódł śmiało drużynę do boju, co to z kosą w ręku, nieustraszony, kroczył na czele oddziału! Zginął przeszyty przez piersi siedmioma kulami. Obawiali się widocznie Moskale kostniejącej prawicy dowódcy, skoro konającemu już, odcięli obie ręce.

Śmierć Younga przygnębiła ducha walczących; mała już tylko garstka zdolna była stawić opór, gdy zaś tej zabrakło, powstał ogólny popłoch, zamęt, zamieszanie i najodważniejsi nawet rozpoczęli odwrót. Daremnie wy-

skoczył na koniu przed szeregi oficer Myskovich, wołając mięszanym serbskim i polskim językiem: »Bracia Słowianie! srom dla wielkiego narodu polskiego uciekać przed moskwicinem! Niech żyje! niech żyje polska ziemia!«; daremnie pracowała reszta oficerów nad powstrzymaniem odwrotu. Nie wielu zresztą mogło tej starszyny służyć przykładem swoim podkomendnym, niewielu bowiem ocalało wśród gradu pocisków; przeważna część spłaciła krwią dań swej ojczyźnie. Między innymi zginął Wasilewski, starej daty emigrant, kapitan listopadowej armii, obok szanowany ogólnie Libelt, oficer kawaleryi Gustowski, oficer żuawów francuskich i wielu innych.

Mały tylko oddziałek rozbitków przedarł się przez szeregi nieprzyjacielskie i cofając się polami odpierał zapędy pójściu; rozprószone natomiast jednostki padały pod ciosami żołnierzy. Krew ścina się w żyłach na wspomnienie tej strasznej zemsty, jaką wywierali kozacy, pastwiąc się nad bezbronnymi lub rannymi jeńcami. Pole za lasem to jeden rozległy mogilnik pokłutych, porąbanych, posieczonych ofiar. Tu oddzielona od tułowia głowa, tam ręce, nogi osobno leżące, niekiedy luźne ciała kawałki wskazywały na rzeźnię raczej niż pobożowisko.

* * *

Pod silną eskortą wśród nocnych ciemności dąży z murów kaźni do domu ekspedycyi etapów partya wysłanych w głąb Syberyi więźniów. Tam w brudnej, mdłym blaskiem lampki oświetlonej kazamacie sporządzają czynownicy rysopisy, tam odbierają wśród drwin i złośliwych uwag ich pogniłe w wilgotnych podziemiach łachmany, tam aresztancką dają garderobę. Dwie pary zgrzebnej bielizny, trzewiki w kształcie sandałów, surdut w rodzaju szlafroka z sukienem piętnem na plecach i spodnie z szarej materyi i czapka szara z kożuszką, na schówek zaś gruby wór lniany, to skromna wyprawa skazanych.

Brzask poranny odsłania widok niebios pogodnych, zbudzone ze snu ptaszęta dziękują Stwórcy za wolność, mieszkańcy swobodni opuszczają domy, a w kazamacie wre wciąż żwawa praca przy stosie ciężkich żelaznych okowów. Pęki łańcuchów i branzolet pęki, to widmo strasznych udreżeń skazańców.

W rzędach po sześciu przykuci parami do silnych więzów z tobołkiem na plecach w takt ponurego pobręku łańcuchów kroczą ofiary długim, pustym szlakiem. Stepowe wiatry szlę im pożegnanie, w szumie rzek nurtów słyszą rzewną aryę, pogrzebowego marszu smętną nutę. I zdaje się wygnaćcom, iż tam od zachodniej strony dolatuje ich głos pobudki spieszących do boju szeregów, iż powiew wiatru ojczystego przesyła im żwawej palby echo, iż dzwonięcie kos, oręża szczęk, zwycięstwa pieśni nuta płynie ponad zroszoną łzami niedoli ziemię, ku dalekim kresom wschodu. I rozjaśnia się oblicze wygnaćców i oko ich żywym okrasza się blaskiem i w odpowiedzi walczącym braciom nuca choralny śpiew obozowych pieśni.

Żdziwieni stają po drodze przechodnie, słuchają brzmienia dźwięcznej melodyi i znakiem krzyża świętego umacniają śpiewaków, a drudzy bluźniercze z ust swoich wyrzucają słowa, niewdzięczni, niepomni na godło podniesionego sztandaru »za naszą wolność i waszą«.

I mija z wolna dzień jeden po drugim i znika z oczu etap za etapem i stacya znika za stacyą stepową, a szczyt Uralu, kraniec części świata i słup graniczny z białego granitu zwiastują więźniom Azyatów sadyby. Wzrokiem i myślą żegnają wygnańcy zachodnie strony, żegnają ojczyznę, rodzinne wsie, grody, a żegnają na zawsze, bo któż mógł być pewnym, iż zdoła powrócić do strzechy domowej?

Zda się wygnańcom, iż wyrzuceni poza kresy świata wstępują w dziedzinę innego jestestwa, w krainę innego życia. I oto cicha łza, widomy znak głębokiego żalu, zawisa na rzęsach mężów, którzy nie lękali się kul, spis i bagnatów, których nie ugięły nahajki kozackie, nie złamały długie dni niewoli, ni wilgotne kazamaty, ni setki mil przebytych o chłodzie i głodzie wśród dzikich pustyń i śniegów.

* * *

Gwałtowne mrozy objęły rzędy nad daleką okolicą, głębokimi zasypałą śniegami. Silne wichry wyją dniem i nocą, uginają harde dziewiczych borów wierzchołki, zwierzy nie opuszcza jam swych i legowisk, a tylko stada zgłodniałych wilków snują się nocami, łączą swe żałośne głosy z wichru tonami i podchodzą pod osady, szałas, wabione obecnością bydła w stajniach i zagrodach. Tu setki mil od granic ukochanej ojczyzny, na śnieżnych stepach, wśród ściętej mrozem przyrody, wśród głazów lodowych, siedzi w nikłym poddaszu garstka tułaczy u skromnego stołu, łamiąc opłatki, dzieląc chleb niewoli, dzieląc okruczki okupione bolem, krwawym potem, cierpieniem, złane łzami smutku i tęsknoty. A ze stropu niebios zaziera ciekawie przez małe okienko gwiazdeczka jasna, ta sama gwiazdka, która spogląda na kraj rodzinny, na ojczyste strzechy; posłanka rzewnych myśli wygnańców, gorących ich modłów do Stwórcy. I oto słyszą Sybiru bory słodką nutę polskiej kolędy, którą okuty w kajdany naród wita radośnie dzieciątko Jezus.

* * *

Należał do rzędu owych zacnych kapłanów, co to przejęci poczuciem swego posłannictwa jako duszpasterze jęczącego w niewoli narodu krzepili słowami Chrystusa zwątpionych, koili ich rany, a głosząc tak w pysznych pałacach, jak i skromnych lepiankach wieśniaczych miłość bliźniego, zasady równości w obec praw boskich i przywiązanie do ziemi rodzinnej, do mogił i popiołów ojców umieli połączyć godnie w jedną misterną całość, obowiązki służby kościoła z obowiązkami syna ojczyzny. Urodzony r. 1834 w Prenach wstąpił ks. Maksymilian Tarejwa w r. 1854 do zakonu OO. Kapucynów, a wy-

święcony r. 1860 na kapłana, zasłynął niebawem jako znakomity kaznodzieja w kościele Kapucynów w Warszawie. Śmiały, energiczny, wypełniał zaszczytne miejsce członka organizacyi narodowej, był niestrudzonym pocieszycielem więźniów lub skazanych na śmierć rodaków, z których niejedni zawdzięczał swoje uwolnienie niezwykłych przymiotów duszy ks. Maksymilianowi. W oddziałach szedł pierwszy w ogień, błogosławiąc krzyżem dzielną garstkę walczących. Pomimo, iż apostołstwo ks. Tarejwy nie było z czasem tajnem władzom rosyjskim, pomimo, iż rząd ścigał go zawzięcie, a znajomi i przyjaciele nakłaniali do wyjazdu za granicę, nie myślał ani dał sobie mówić o opuszczeniu rodzinnego kraju. »Wzrosłem wśród ludu« — mawiał — »pokochałem lud ten i ziemię naszą całym sercem, jakżeż mogę opuścić ich w tak donośnej chwili. Jakikolwiek los mię spotka, na wszystko jestem przygotowany; nie waham się oddać życia w ofierze, jeżeli wyroki niebios oddać mi je każą«. I ziściło się przeczucie ks. Tarejwy. Za nędzne srebrniki znalazł się zdrajca, który krwią sługi bożego splamił swoje dłonie.

W filarze poza chórem lędzkiego klasztoru znajdowała się skrytka, miejsce schronienia ks. Tarejwy, ilekroć razy groziło mu niebezpieczeństwo pogoni. Sztuczna sprężyna zamykała miejsce kryjówki tak, iż obcy przy najściślejszej rewizyi nie był w stanie odkryć tajemnicy...

Batalion wojska otoczył klasztor w Łędzie, a komendant major zawezwał przed siebie przeora, pytając o pobyt Tarejwy. »Nie wiem« odpowiedział lakonicznie przeor »od dłuższego nie widziałem go czasu«. — »Wziat etoho padleca, buntowszczyka«! krzyknął major na żołnierzy, plunąwszy w twarz i wymierzywszy policzek przeorowi i poszedł wprost na chór do zdradzonej mu skrytki.

Wiatr hula po pustym klasztorze Kapucynów w Łędzie, zakonnicy zapełniają cele więzienne, ks. Tarejwa stoi w Kaliszu przed sądem wojennym. »Na śmierć przez powieszenie«! opiewa krótki, lecz treściwy wyrok generała Belgarda, jeden z owych tysiąca pięciuset wyroków, którymi rząd rosyjski uwidoczniał w styczniowych rozruchach swą władzę nad polską krainą. Daremnie odnosiła się do Petersburga hr. Plater, dama honorowa carowej, daremnie błagało Belgarda o litość kilkuset włościan okolicznych wiosek. »Litość musi ustąpić — przed sprawiedliwością«! odpowiedziano i przystąpiono w Koninie do wykonania strasznej egzekucyi...

W porannej godzinie otoczony silną eskortą kozaków i pieszego wojska kroczy kapłan męczennik za miasto na plac stracenia. Odziany w habit zakonny, dzierżąc godło zbawienia w prawicy, umacnia siebie na duchu rzewną nutą pogrzebową, umacnia tysiące zebranych, żegna ciernistą doczesnego życia ścieżkę. Staje u stóp rusztowania... wzrokiem przebiega po ojczystych niwach... śmiałym krokiem wstępuje na podium. Tu wdziewa białą koszulę na habit i z całą godnością, powagą, poczuciem spełnionej powinności, idzie w ręce kata... Zawisa w powietrzu postać męczennika... i spada po chwili na ziemię, a jękiem boleści i zgrozy okrzykiem wtórują pobożni

przerażliwej scenie. Rozdrażnione żołdactwo rzuca się na tłumy, chce pięścią i kolbą ukoić jęk zgrozy.

Przed ostrzem bagnatów cofa się lud wierny, a ciało Tarejwy znów zwisa nad ziemią... i dusza kapłana ulata w przestworze... Więc kornie klękają zastępy w okolo i szlachcie i mieszczanin i kmiotek ubogi szła modły do Pana za duszę niewinną. A z miasta dolata głos dzwonów ponury, dzwonnice składają hołd cieniem zmarłego.

Nieszczęsna kraino! kiedyż zdołasz już zamknąć stuletnią twą księgę męczeństwa?...

* * *

Z gliszczy i pożogi, z mogił i kurhanów wzniósł się znów w górę śmiało »Orzeł biały«: powstał z popiołów i rzekł odrodzony. — »Narodzie polski! nie ostrzem żelaza, lecz mrówki wzorem dobijaj się bytu, sklepij jak mrówka gniazdo twych Penatów, gromadź jak mrówka skrzętnie twe zapasy, pracuj jak ona wytrwale, oględnie, żyj w zgodzie, przyjaźni jak mrówek rodzina, a rychło potrafisz wznieść godną budowę! Wówczas znów wzlecę z szczytu twego gmachu, wzlecę potężny hen! aż ponad chmury, jak wlatywałem w Jagiellonów czasach, mówiąc ościennym:

»Jam jest polskim orłem«!

Walenty Ćwir.



O B O W I A Z E K .



Władną zapału jest potęga,
Który tysiące serc porywa
I w jeden zgodny łańcuch sprzęga
Porozpraszane te ogniwa;
Który nad padolami wzłata,
Niby płomienny anioł Boży,
Aby wśród nędznych wrogów świata.
Roztlić pochodnię nowej zorzy.

Sławioną niech na wieki będzie
Ofiarność nieugięta, wielka, --
Słuszności szermierz i narzędzie,
Potężnych czynów rodzicielka.
Mienie i życie niesie ona
I wrogom pierś nastawia śmieie,
By jak pelikan, swego łona
Krwia żywić dziatwę swą: swe cele.

Snać jednak godnem czci najbardziej
Jest ciche, czyste to poczucie,
Które nagrodą wszelką gardzi --
I w wysadzonej gdzieś reducie
Padłszy nie wszczyna wrzawy o to,
Z lauru nie pragnie rwać gałązek,
Lecz uniewinnia się z prostotą:
— »Wszak to był tylko obowiązek!»

St. Rossowski.

Chwałą narodu są narodu syny,
Chwałą jednostek są jednostek czyny.
Polsko! raduj się wiele Ci wróżymy,
Wśród synów Twoich rodzą się olbrzymy.

Z. Kieszkowski.

Jedność narodu nie tyle zależy od jednolitości jego ustroju politycznego ile od jedności ducha. Politycznie jesteśmy rozdzieleni na trzy dzielnice, z których każda stosownie do swych warunków odmienne losy przechodzi i odrębnie się rozwija; mimo to jednak świadomość naszej jedności społecznej przez sto lat niedoli nie przyćmiła się ani na chwilę: duch przebijający się w naszych pracach i usiłowaniach, w naszych myślach i uczuciach, w naszej literaturze i sztuce, we wszystkich dzielnicach i w najdalszych koloniach, ten sam, jednolity, niepodzielny. Dopóki duch ten żywie i rozwija się, jesteśmy narodem jednym, wśród ucywilizowanych narodów mającym swe dziejowe, cywilizacyjne przeznaczenie. Dopóki duch ten żywie, żywie i wiara w naszą przyszłość — a wiara to siła, a siła to życie i byt polityczny.

Pielegnujmyż i chrońmy tę jedność naszą, duchową, i w młode je szczepmy pokolenie; tą jednością łączmy prace i usiłowania nasze, krzepmy ducha i wzmacniajmy wiarę, a wzniesiem gmach przyszłości naszej, choć z trzech członów ukształcony, jedną związany myślą — jednolity, potężny: symbol idei »jeszcze nie zginęła!«

Bolesław Mańkowski.

Zadaniem wychowania narodowego jest rozniecić w młodych umysłach i sercach wrodzone każdemu przywiązanie do rodzinnej strzechy i ojczyznej ziemi w miłość ojczyzny, taką żywą i gorącą, żeby przeniknęła całą ich istotę. Miłości tej nadać przez naukę dziejów ojczyznych kierunek rozumny, świadomy celu, do którego ma dążyć i środków, któremi cel ten osiągnąć może. Przez poznanie wielkich zasług narodu około chrześcijaństwa i cywilizacji europejskiej i przez ocenienie wielkich dzieł geniuszu narodowego na polu piśmiennictwa, nauki i sztuki spotęgować tę miłość do głębokiego poczucia godności narodowej i szlachetnej dumy, a wyrobieniem hartu ducha i siły woli przysposobić ją do czynu i do poświęceń bez granic dla sprawy narodowej.

W. Niedziałkowska.

P I E Ś Ń.



.... W końcu padła śmiertelnie znużona. Gwałt i przemoc rozpedziły jej dzieci i obrońców w dalekie świata strony, zasiewając w ich sercach jedyne uczucie: chęć zemsty... A pierś jej wolną przygniotła stopa tyrana, który oblicze swe maską »prawa« osłonił. I wetknęli w jej pierś miecz, chrzęstem swej żelaznej zbroi zgłuszyli ostatni protest konającej i z tryumfem zawołali: »Umarła już!«

Odarli ją z szat i kosztowności i porzucili nagą na pośmiech przechodniów, na żer wron i kruków orszaku swego.

Zabili ciało, ale nie ducha, bo duch nieśmiertelny i urąga potędze ziemskiej, korzy się tylko przed Bogiem. Duch ten nieśmiertelny nowe przybrał szaty, wcielił się w dzieci zmarłej, nad którymi unosił się w górze Orzeł biały, nawołując na nową, straszną walkę.

I nie zdążyli jeszcze mordercy opuścić pobojuwisko i wiatr nie zdołał jeszcze rozprószyć chmur dymu i krwi zapachu a już z głębi lasu do uszu wrogów biegła straszna groźba, zapowiedź kary za zbrodnie:

Tak zemsta — zemsta na wroga!
Z Bogiem — a choćby mimo Boga!

To niedobitki pieśnią wieszczą przysięgali zemstę. Wytracono im z dłoni żelazo — nie mieli broni. Duchem będziemy walczyć — rzekli sobie — a bronią naszą niech będzie pieśń:

W noc spokojną do domu wpadniemy,
Gdzie szczęśliwi cichymi śpią snami,
Naszą pieśnią ich spokój przerwiemy,
Niech się zbudzą! i idą za nami.

Przejdziem cały obszar ziemi naszej siejąc na świeżych gruzach, na dymiącej krwią glebie, straszną pieśń zemsty — z żelaznych uścisków roz-

paczy i niemej rezygnacyi wyrwiem braci naszych, wiary pieśnią. Niech z ust ich zamiast słów zwątpienia bije w strop nieba żaloszny jęk pieśni:

Boże coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały
Coś

Gdzie bracia nasi zapomnieli o niepomszczonej krwi matki, i głosząc się za jedynych przedstawiciele narodu, liżą stopy tyrana, tam zburzym rze-
komą zgodę złowróbną protestu pieśnią:

My kmiotki wiedeńskich traktatów nie znamy
Nie wchodzimy w układy z wrogami
.

A jeśli bracia nasi nie załamali rąk w rozpacz i mimo cichego czy głośnego gwałtu chwycili za pracy młoty, by odwalić wieko przemocy z wolności grobu to podniosiem ich zapal i dodamy wytrwałości tryumfu pieśnią:

Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła
Siłą odbierzemy.
Co wszczęła rozpacz
To dokona męstwo —
Marsz, marsz Polacy!
Jedność da zwycięstwo!

Pieśnią ożywim kraj cały, ona będzie najżywszym protestem przeciw okrzykowi, żeśmy już umarli, żeśmy się wyrzekli wiary w niepodległość, żeśmy się wyrzekli praw naszych przyrodzonych.

Ona będzie tym duchem naszej matki, którego mordercy pochwycić i zabić nie zdołają — bo nieśmiertelne, zachmurzone niebo patrzyło, a wiatr i drzewa słuchały przysięgi. I poszli apostołowie - piewcy w świat na tułaczkę...

I widzieli na ziemi polskiej, pod berłem «białego cara» spustoszenia — w miejsce spokoju i szczęścia, dziś wyciąga i załamuje sine dłonie nędza i rozpacz — po drogach zamiast krzyżów męki Pańskiej sterczą suche dwie szubienice, znaki męczeństwa Polski, synowie jęczą w ciemni więzień, w Sybiru kopalniach — lub włoką zdrtwiałe od zimna nogi do stepowego otapu — matki płaczą dzieci, żona męża, siostra brata, narzeczona kochanka

sługa pana, shańbiony kościół i wiara, — pogwałcone najświętsze prawa, pogwałcone związki rodzinne, wszędzie czytasz słowa: przemoc! gwałt! bezprawie! i widzisz najjaskrawszemi skreślone farbami starożytne: *Vae victis!*

I nie poznali nawet wędrowcy swych braci, bo nie swojskim do nich przemawiali językiem. Szkoły to już nauczyły ich zapomnieć swej mowy, nauczyły czić przemoc i bezprawie, a męczenników wolności uważać za miatieżników, rewolucjonistów, zapalone głowy.

Bezдушność — rozpacz i rezygnacya rozciągnęły nad młodem pokoleniem ciężką oponę beczynności i układały je do wiekowego snu.

I zanucili nasi wędrowcy mimowolnie pod brzemieniem żalu:

Znikły dla nas nadziei promienie
Ani zorza nie świeci nam błada,
Stańmy jako upiorów gromada
We krwi wrogów ugaśmy pragnienie!

I dziwna rzecz, cały kraj to głośniejsz, to ciszej zawtórował nie budząc się jednak z letargu. A gdy wędrowcy uderzyli w niebo pieśnią:

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie
Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!

to biegł już oddźwięk tej pieśni od stoków Karpat do Bałtyku, a wiara obudzona w sercach przygnębionych zaczęła powoli odchyłać oponę rozpaczycy gdziekolwiek wybiegał głos z początku cichy:

W tem to sercu bracie mój
Gore zemsty siła,
Ta tyranów krwawy bój
I śmierć wymówiła.

Gromki jej głos budził najwięcej ospałych. Siła głosu śpiewających otworzyła wielu oczy na ich potęgę i poczęto przemyśliwać nad wyrwaniem się z letargu i z nowem życiem wnet popłynęła pod chmury pieśń:

Do pracy, razem do pracy!
W cichej zgodzie dłonią w dłoń!
My bez broni, więc rodacy,
Praca dziś to nasza broń!

Odgłos pieśni uderzył w okna gabinetów carskich, odurzył i zdziwił czynowników.

Precz z marzeniami! zawołali i wyciągnęli znowu żelazne prawice po ofiary. Napełniły się więzienia. Z poza krat jednak niósł wiatr dalsze zwrotki

Choć świat mówi, że nad nami
Pogrzebowy jęknął dzwon
Ziarno wzrośnie nad grobami,
Z naszej pracy wzrośnie plon!

Przerażenie wstrząsnęło zaborcą, bo równocześnie z tą pieśnią widział na ścianach swego pałacu złowieszcze słowa: Mane, Tekel, Fares, a z dali dolatywał go cichy odgłos pieśni:

Jeszcze Polska nie zginęła

....Wędrowcy szli dalej...

Orle.



Z pamiętników uciekiniera.

— 1881 —

... Żydek poganiał chudą szkapę i sanki leciały, podskakując na bruku pokrytym cienką warstwą śniegu. po Nowym Świecie ku Trzem Krzyżom, ja zaś poganiałem żydka obietnicą sowitego wynagrodzenia, bom się spóźnił, podług swojego chwalebego zwyczaju. I jakże się nie miałem spóźnić, kiedy mię złapał przed samymi Karmelitami kochany Jarociński, wąsaty ułan Skrzyneckiego, niewidziany od pół roku? I jakie mi on nowiny przywiózł z Białegostoku! Nasi szemrzą i zgrzytają zębami, bo o powstaniu jakoś nie słyhać, a Wileński komitet zapowiada wręcz, że powstania wcale nie będzie, i każdy prawdziwy Litwin powinien się wystrzegać tych przeklętych Mazurów, emigrantów i kolejarzy, którzy tylko chłopów buntują. Tak mówią Jundziłł i Zabłocki w Grodnie, tak powtarzają ich stronnicy w Białymstoku, a Frycze, Pluciński, Pluciada nic zrobić nie mogą. Władka Michałowskiego zdenuncyowali, o czym Jarociński nie wiedział, ale ja telegrafowałem przecież przed chwilą do Władka z Pragi, by się miał na ostrożności: telegrafowałem słuchowym sposobem, który na wstążeczkach aparatu żadnego śladu nie zostawia.

Warto więc było słuchać i notować sobie w pamięci, a kiedy się wyrwałem, już druga dochodziła. A trzeba było na gwałt jeszcze zebrać podatek narodowy i być przed trzecią na Starem mieście, gdzie Giedke miał mi coś ważnego do powiedzenia. Główna rzecz podatek. Ciocia nie bogata, ale zapłaci z pewnością, a pieniędzy na gwałt potrzeba. Francuzi wydali Moskałom pierwszy transport broni, aresztowali Mitowicza i Godlewskiego, a jakże będzie gdy Wielopolski brankę naznaczy? Pieniądzy, pieniędzy na gwałt!

Leciał więc dorożkarz o ile żydowska szkapa lecieć może, a jam dumiał. Iluż naszych capnięto w tym grudniu 1862 roku! Ale mnie się dotychczas upiekło, chociaż mię szukają od siedmiu miesięcy po całym kraju, a ja sobie spokojnie siedzę w Warszawie. Upiekło się dotychczas chwała Bogu i Frankowskiemu i Wasilewskiemu, i setkom innych, których jeszcze dawniej szukają. Jeżeli prawda, jak mówi Wołk-Bunikiewicz, że naznaczyli na moją głowę 5000 rubli (ale pewno pływa), to nie bardzo się starają o zdobycie takiej gratki. I z pewnością do mnie się nie dobierają; mieli mię prze-

cie nie dawno w ręku za latarkę, a wypuścili. O zdradzie wcale nie pomyślałem, bo należałem jeszcze wówczas do bardzo naiwnych.

Zresztą jak tu o zdradzie pomyśleć, kiedy tyłu siedzi, którzy mię doskonale znają, a nikt ani słowa nie pisnął? Nie tylko nasi z organizacji, wszyscy świecie tajemnicy dochowali. Czyż parę dni temu nie spotkał mnie Moskal, nasz kolejowy inżynier Alechin, na Senatorskiej, właśnie gdy pułk gwardyi z muzyką maszerował, i nie udał, że mnie nie poznaje? Nikt carowi nie pomaga, chyba sam Wielopolski, a przecież i jego policya raporty mi składa najsumienniej. Tyje wiedzą, ile się z Paryża dowiedzieli.

Skęciliśmy na Chmielną i wnet stanęliśmy przed niską bramą 1575-go numeru na Widoku. Wpadnę, wyproszę podatek z całowaniem rączek, i jazda dalej.

Sankarz rozsiadł się dla czekania, ja wpadłem jak zwykle szybkim krokiem na podwórze. Od ulicy był parterowy dom, ciotka mieszkała w oficynie w głębi podwórza i ku tej oficynie skierowałem się. Nic nadzwyczajnego nie było widać, te same doróżki (mieszkał tu p. *Antreprenier* od doróżek), te same krzątające się baby u studni: ale pomimo krótkiego wzroku stanąłem wkrótce jak wryty, w zamkniętem oknie, mignęła przestraszona twarz kobieca, i ręka znak dała — grozi jakieś niebezpieczeństwo. Nie było rady, bez namysłu wykręciłem się na piętach, i podążyłem ku otwartej na oścież bramie. Jeden rzut oka pokazał mi wówczas że źle. Na moich sankach siedzi policjant, sądząc z fizynomji, Litwin, jeden z tych zasłużonych żołnierzy gwardyjskich pułków, którymi Wielopolski wzmocnił niedawno nie bardzo pewną warszawską policję; a z za bramy wychodzi natychmiast mój dobry znajomy, p. dozorca Słowikowski i najgrzeczniej oznajmia: „Nie wolno — bądź pan łaskaw do mieszkania”. Do takiej niespodzianki dawno byłem przygotowany, i od kilku miesięcy na taki wypadek czekał w kieszeni od biekieszki przygotowany rewolwer. Nie mówiąc ani słowa wydobyłem go natychmiast, Słowikowski odskoczył jak oparzony, wrzeszcząc już nie pamiętam co, a ja pobiegłem chodnikiem ku Marszałkowskiej. Obaj policjanci podążyli za mną środkiem ulicy na saniach, wywijając ex-ulańskimi pałaszami, i wzywając do pomocy wiernych poddanych Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości: ale nikt się na takie wezwanie nie zgłosił i dobiegłem bez przeszkody do ostatniego domu na rogu Marszałkowskiej, celując od czasu do czasu w prześladowców dla przestraszenia, dobrze że wówczas nie mieli broni palnej, bo by mi ten manewr z pewnością na sucho nie uszedł.

Strzelać — broń Boże! Chyba bym miał zwołać gapiów i żołnierzy z dworca kolejowego, tuż z tamtej strony Marszałkowskiej ulicy. Przez te kilkadziesiąt kroków ułożyłem sobie już plan ucieczki, i taki wymagał jak najmniej świadków — sam p. Słowikowski ich zawezwie, kiedy mu będzie potrzeba.

Na rogu ulicy Widok i Marszałkowskiej, naprzeciw dworca, stał wówczas niepokazany, mniej niż drugorzędny zajazd, pompatycznie oczerzany: „Hotelem Warszawsko-Wiedeńskim”. Znałem dobrze tę dziurę, bo kilka razy

robiłem w niej najazd na Rudego¹⁾, który się w niej często zatrzymywał i którego trzeba ciągle było w karchach trzymać. Rudy, znany ze swojego ultra terrorystycznego usposobienia, które było mu wspólne z jego bratem Zygmuntem, musiał prawie zawsze przedemną parować i odkładać projekty »sprzątnięcia« na lepsze czasy. Nie daleko stąd czuwający Kogutek²⁾ miał go zresztą na oku, i nie pozwalał mu brudzić zbyt wiele.

Kwaterna Rudego była teraz dla mnie punktem oparcia. Front był od ulicy Marszałkowskiej, a od Widoku była brama z furtką na podwórze. Na drugim końcu był ogródek ze stolikami dla piwoszków, przytykający nie wysokim murem do sąsiedniej posesji na alei Jerozolimskiej. Wpadłem tedy do bramy »hotelu«, i furtkę za sobą zatrzasnąłem.

Rozumie się, że Szanowni »rodacy« straży bezpieczeństwa natychmiast za mną podążyli. Ale stałem tuż za furtką, i skoro wzięli się za klamkę, otworzyłem gwałtownie drzwi, i wycelowana lufa rewolwera z wykrzykiem: »Nazad, bo w łep palnę«! przekonała ich nader łatwo, że lepiej stać na ulicy, krzycząc i machając pałaszami. Byłem już pewny, że się drugi raz nie zbliżą, nim posiłki przyjdą, i zostawiając bramę na wolę Boską, pędem rzuciłem się do bufetu.

Szło mi nie tylko o własną osobę, ale o to co z sobą miałem. Oprócz rewolwera i sztyletu miałem z tysiąc rubli podatku narodowego, dziś zebranego i książeczkę notatkową, pisaną wprawdzie mnie tylko znanymi hieroglifami, ale która się pomimo tego nie powinna była dostać do rąk naszych najserdeczniejszych. Wpadłem do bufetu, gdzie siedziała pierwszy raz w życiu przezemnie widziana i blada z przestachu bufetowa — boć przecie słychać było wrzaski policjantów, i niejedna ciekawa figura wyjrzała już na podwórze, by się schować co prędzej, kiedy się przekonała z mojej powierzchowności i trzymanej w ręku broni, że nie ma do czynienia ze zwyczajnym rzezimieszkiem. Wpakowałem jej do ręki paczkę bankowych biletów i książeczkę notatkową z dobitnym szeptem: »Pieniądze narodowe« — zajęło tylko jedną chwilę i wyskoczyłem natychmiast do ogródka, a za mną obróciły się tylko szeroko otwarte oczy niemej z przerażenia kobiety.

Czy *wszystkie* pieniądze oddane zostały, tego nie wiem, ale część z pewnością dostała się do skarbu narodowego; a z notatek zrobiła panna czy mężatka najlepszy w świecie użytek, bo je natychmiast spaliła.

Po takim walnym czynie już złej mi było wędrować dalej; to też przedostałem się żwawo przez ścieżki, ławeczki, stoliki i krzaki ogrodu, dotarłem do muru i przegramoliłem się na sąsiednie podwórze. Ani jedna żywa dusza nie wyjrzała z za szczelnie zamkniętych i zakitowanych okien; rewolwer znikł w bocznej kieszeni, i najzwyczajniejszym krokiem dostałem się przez sieni wysokiej, kilkopiętrowej kamienicy na aleję Jerozolimską.

¹⁾ Ignacego Chmielińskiego.

²⁾ Naczelnik policyi naszej.

Człowiek praktyczny i ostrożny skończył by tutaj swoją odyseę najprozaiczniejszym sposobem. Na prawo, na lewo żadnego osobliwego ruchu widać nie było: stójkowi ziewali sobie jak zwykle na rogach ulic, służące snuły się od domu do domu, rzadcy przechodnie (alea była wówczas bardzo mało zabudowana) spieszyli z powodu mrozu po trotuarach — ani jednej doróżki, ani jednego wozu. Widać że policja była jeszcze zajęta pilnowaniem strasznej furtki, a jakem się później dowiedział, dopiero sprowadzeni ze dworca żołnierze uskuteczнили rewizję hotelu — gdzie nic nie znaleźli, i gdzie nikt im powiedzieć nie mógł, kędy się podział »wysoki, młody brunet w okularach, w bekieszy z bobrowym kołnierzem«. Trzeba więc było wpaść do pierwszego lepszego domu, zadzwonić do czyjegoś mieszkania (byle nie arystokratycznego), zarekomendować się i przeczekać przy herbacie policyjską burzę. Takie już były czasy, że mogłem być pewny schronienia. I okłamałbym pocziwą Warszawę, gdybym nie powiedział, że plan taki, chociaż nie tak zupełnie, udałby się z pewnością i teraz.

Dostałem też natychmiast dowód, że mogę najzupełniej liczyć na mieszkańców grodu syreniego, bo kiedym szedł zamyślony trotoarem, starając się, by nic we mnie nie zdradzało zwierza, który tylko co z obławy wyskoczył, słyszę koło siebie głos kobiecy: »Panie, panie! zgubiłeś pan coś«. Oglądam się — jakaś biedna niewiasta z nadwyzwyczajnie znaczącem spojrzeniem pokazuje mi na śniegu czarny przedmiot: było mój nieszczęśliwy rewolwer, którego wpakowałem z pośpiechu do dziurawej kieszeni. Podniosłem, włożyłem do innego schowania i bez podziękowania ruszyłem dalej; ona pobiegła także, nie obejrzawszy się nawet, ku ulicy Marszałkowskiej.

Alem nigdy nie był ani praktycznym, ani zbyt ostrożnym i taki plan ze schówką do mnie nie pasował. Jedno tylko było dla mnie oczywistem: pułapka jest — trzeba dać znać natychmiast — natychmiast! A tu jak na złość ani jednych sanek!

Kto zna Warszawę, wie, że ażeby się dostać z Jerozolimskiej na północ, ku staremu Miastu, trzeba koniecznie przejść albo Marszałkowską (bo dalej do Żelaznej, prawie koło rogatek, niema żadnej przecznicy), albo Bracką koło Widoku, albo Nowym Światem, albo niżej, Solcem, czyli jak mówią czyści Warszawiacy, »Szulcem«. Pierwsze drogi były zajęte przez policję, w tem wątpienia nie było — podążyłem ku Nowemu Światu, ale skręcając na Nowogrodzką, równoległą Jerozolimskiej Pustki i tu — bo też wówczas było to prawie za miastem: dostałem się tak na plac Trzech krzyżów — nigdzie za mną nie widać pogoni.

Gdybym miał trochę rozumu, albo więcej stanowczości, kiedym zobaczył, że u Trzech krzyży także sanek nie ma, rzuciłbym się na Nowy Świat, gdzie ruch był bardzo ożywiony: najlepiej się schować w tłumie. Alem się przestraszył tego, że mię nawet w tłumie zdradzi wzrost; dawnom był do tego przyzwyczajony przez Białostocką policję, która w żadnej manifestacji nikogo nie widziała, prócz długiego Szwarca. Zejść ku Wiśle na dół Książęcą, skręcić na Solec, a już mnie żaden Słowikowski nie złapie

w zaułkach i fabrycznych zagrodach nadwiślańskich: stamtąd do Starego Miasta najkrótsza i najbezpieczniejsza droga. I skręciłem na Książęcą.

Wiele lat później opowiadano mi na Syberji, że jakiś konny za mną jeździł i wskazywał policjantom, któredy poszedłem; mówiono mi nawet nazwisko tego jegomości, który miał być za to srodze przez naszych prześladowany. Mogę powiedzieć, że nic takiego nie spostrzegłem, że żadnej kawalerji nie widział, a jeśli jakiś jeździec wracając z Alei Ujazdowskiej, wskazał mię policjantowi, to zupełnie niewinnie tak postąpił.

Książęca ulica spuszcza się dość pochyło na dół od placu Trzech Krzyżów ku Wiśle, a od niej skręca na prawo Czerniakowska ku rogiatom, na lewo Ludna ku Solcowi. Wcale w niej prawie domów niema — na lewo szpital św. Łazarza z obszernym ogrodem, otoczonym murem wysokim: na lewo pałacyk i ogród Frascati Branickich na wzgórzu: na samym początku od placu parę domów. Nie mogłem wybrać gorszego miejsca dla ucieczki, bo z góry widać wszystko jak na dłoni i tak mię prawdopodobnie policjanci poznali z daleka po wysokim wzroście, po futrze i mazurskim czarnym kapeluszu. Alem liczył, że po dwóch minutach skręcę na prawo albo na lewo i że już zupełnie mię z oczu stracą: jeszcze kilkanaście sekund, i takby się też stało.

Ledwom jednak doszedłem do końca ogrodu św. Łazarza usłyszałem za sobą krzyk i tętent jazdy — dopędzają mię. Żwawo więc skręciłem za róg ogrodu na Smolną, która łączy Książęcą z dolną Jerozolimską: ale i tu widok nie był wcale pocieszający. Z jednej strony ciągnie się dalej mur ogrodu szpitalnego, z drugiej sterczą jednostajne niskie zabudowania bankowej fabryki maszyn, bez żadnej bramy na ulicę. Złapałem się!

Nie było czasu do namysłu, bo już dojechał Słowikowski z moim żydkiem i dwoma pomocnikami. Zaczęła się znowu scena z ulicy Widok: oni wywijają pałaszami, krzyczą i złorzeczą, trzymając się jednak odemnie jak najdalej, ja idę zmęczonym już krokiem, celując czasami, kiedy ktoś zbyt blisko się zbliża. Z obywateli — ani żywej duszy.

Przy tej samej ulicy, Smolnej dolnej, miał później, jak niesie podanie, zamieszkać ostatni naczelnik Rządu Narodowego, Romuald Traugut. Ulokował się chyba w budynkach bankowych, bo innego domostwa wówczas nie było: a ponieważ wymieniają jakiegoś właściciela kamienicy mocno wątpię o akuratności tego podania. Ale to się do mojej sprawy nie odnosi.

Położenie było nie do zazdrości; zacząłem się więc rachować z możliwością dostania się do niewoli, bo lada chwila mogą podążyć policyjne posiłki. Nic mi nie zostało, prócz portmonetki z trzydziestoma własnymi rublami: ale przypomniałem sobie, że mam w niej piórko gęsie, szczerlnie z obu końców zapieczętowane i zawierające jakiś biały przedmiot. Dostałem je dla oddania komuś, teraz nie pamiętam komu, i nie wiedziałem wcale, co się w piórku znajduje; na wszelki wypadek lepiej się i tego pozbyć. Strasząc więc prawą ręką pana Słowikowskiego rewolwerem, lewą wyciągnąłem kieskę z kieszeni i jednym zamachem przrzuciłem przez mur ogro-

dowy. Teraz już nie mam — prócz broni. Prawda, że ta broń prowadzi wprost na szubienicę — ale tylko mnie.

Policja zważała wyłącznie na wycelowany pistolet, więc tego ruchu nie spostrzegła; ale krew semicka odezwała się w sankarzu i doskonale spostrzegł, że poleciała *portmonetka*. Szanowny Icek czy Mojsie nic wszakże o tem przedstawicielom władzy nie powiedział, ale skoro się wyprawa skończyła, podążył wprost do Łazarzowego ogrodnika, żądając połowy przynajmniej znalezionej. Ogrodnik, zwabiony w tę stronę hałasem, znalazł wprawdzie i zabrał moją kieskę, ale nie umiał jej zniszczyć i pieniędzy schować; dał tylko żydowi w kark nalczyćcie, a ten się zemścił denuncjacją. I tak dostała się do rąk pana Wielopolskiego kartka Jarosława Dąbrowskiego z cytadeli do jakiegoś oficera Dęblińskiej załogi.

Wiele miałem potem z tego pióreczka pociechy. Gdy skrzywiony i ironiczny pan Witkowski zapytał mnie, co ja myślę o jego zawartości, ponieważ się do niego nie przyznaję, odpowiedziałem w prostocie serca, że widziałem podobne pióreczka zawierające jakieś silne lekarstwo czy truciznę. I dopiero kilka tygodni potem, ku wielkiej swojej uciechy, usłyszałem słodko-gorzkie wyrzuty przyszłego prezydenta stołecznego miasta Warszawy z carskiej łaski, zawsze z powodu owego nieszczęśliwego gęsiego ostatka. »Czyż się godzi, szanowny panie, mówił pułkownik Witkowski, tak sobie zadzwieć z sądu Jego Cesarskiej Mości? Myśmy naznaczyli całą komisję chemików, przystąpiono do badania z wszelką ostrożnością a w tem piórze« — i długie jego koszlawe, jak u garbatego, palce wyciągają ów nieszczęśliwy bilecik. Możecie mi wierzyć, że się naśmiałem wówczas do woli.

Ale to było daleko później, wówczas kiedy się krew lała od Prosnego do Dźwiny, kiedy już siedział naprzeciw samego Jarosława w dziesiątym pawilonie i ostrzegłem go co do owej złapanej korespondencji. Lecz trzeba wrócić na Smolną. Doszedłem do rogu, i tu na lewo stał domek z wschodkami od ulicy; za nim piętrzyły się ogrody, należące do Łazarza i do Izby obrachunkowej. Można więc było nareszcie powtórzyć manewr z Widoka, wbiegłem, odstraszyłem znowu policję groźnym celowaniem i podążyłem na podwórze, oddzielone niskim parkanem od ogrodów. Jeszcze jedna chwila...

Sztuka, mówi Moskal, raz się tylko udaje. Prawda, że Słowikowski z drużyną nie śmieli za mną podążyć, ale na ich wrzaski wysypała się cała ludność kamienicy — niestety! Moskale. Był to, jak się potem pokazało, skład artyleryjski, więc żołdaków, chociaż nie szeregowych i bezbronnych, pełno.

Żałowałem, ale po niewczasie, że nie wypalił, że nie choć jednego »rodaka« trupem nie położył, bo już wszystko jedno było — muszą złapać. Na parkan wskoczyć nie podobna — za nogi ściagną, a jest ich teraz kilkunastu. Odstraszyłem więc żołdaków, i wyszedłem znów jak niepyszny na ową nieszczęśliwą Smolną.

Zaczął się już prawdziwy pochód tryumfalny. Kiedym się dostał na Jerozolimską, przerynącą się w owym miejscu przez wysoki pagórek, tak że tylko śnieżne stoki z każdej strony — gdzieś hen na górze domy sterczą — z boku jadą środkiem ulicy sanki, przy nich idą machający policjanci, za mną żołnierska: wszystko to wrzeszczy, rękami wywija, odgraża się rozmaitymi językami. Dla uzupełnienia obrazu nadjeżdża kozak z dzidą, i spokojnie się całej scenie przypatruje; ale widać, że męstwo Dońca do szarży nie dorosło, bo zamiast natrzeć na mnie jak się należy, pożyczyl tylko dzidę piechurom; ci trzymają ją we trzech czy we czterech, przyskakują na ostre, odstepują znów jak najspieszniej przed lufą rewolweru — zaręczam, że warto było patrzeć.

Były to moje ostatnie podrygi. Męstwo moskiewskie znalazło sobie narzeczcie jeszcze jednego pomocnika: jakiś czarny i blady przechodzień został nagle przez nich schwytyany i popychając go naprzód, żołdactwo z za niego na mnie z dzidą natarło. Nigdy nie zapomnę owej bladej, przestraszonej twarzy, owych szeroko otwartych oczu i ust, z których ani jeden dźwięk nie wychodził — i nie dziw; był to, powiedział mi Witkowski, głuchoniemy z sąsiedniego zakładu. Kiedy się ostrze dzidy moich piersi dotknęło, ponad jego głową zacząłem strzelać.

Wszystko zaraz pierzchło, ale nie daleko; żołnierze chowają się za głuchoniemego, policjanci rzucili się byli naprzód z krzykiem: Aha! już wystrzelił!» Ale się wnet przekonali, że mam jeszcze naboje i zrejterowali za sanki: Kozak gdzieś drapnął. Nie jestem jednak winien krwi chrześcijańskiej, bom ani jednego nie drasnął.

Na strzały, jak się można było spodziewać, zaczęli się zbiegać inni wojownicy, z koszarów straży ogniowej tuż na rogu Jerozolimskiej i Nowego Świata: już mi się cała komedia sprzykrzyła. Głuchoniemy wciąż patrzył z najeżonemi od strachu włosami — obrzydzenie! Odwróciłem się i rzuciłem w śnieg swój Letaucheux — »Bierzcie mię!»

Zaraz duch nowy wstąpił w mężne carskie sługi, i kilka pięści na raz chwyciło mię wśród krzyku; a wierny kompan pana dozorecy chciał jeszcze więcej waleczności pokazać, bo pociągnął mię płazem po plecach z przekleństwem. Szarpnąłem się oburzony i odepchnąłem draba, który się znów zamierzył! Trzeba jednak oddać sprawiedliwość Słowikowskiemu, że powstrzymał zaraz zbyt gorliwe zapędy i zrewidowawszy moje kieszenie, jak umieją tylko policjanci i rzezimieszki, kazał mię poprowadzić do dziesiątego cyrkułu.

Bronisław Szwarce.

Odzew z r. 1863.

Młody Lachu gdzie twój koń?
Młody Lachu gdzie twa broń?
Czy nie słyszysz jaki grom,
Świst kartaczy i dział ryk,
Szczęk oręża, ludów krzyk?
Siodłaj konia, rzucaj dom,
Bo przyjaciel, bo brat twój,
Toczy z wrogiem krwawy bój! —
A odwieczny on twój wróg! —
On twym ojcom ręce kuł,
On narodu serce pruł,
I tam bluźnił, gdzie twój Bóg.
Spiesz więc, gdzie bój krwawy wre,
Zemstą niech twe serce tchnie
Mścij na wrogu *Matki* srom!
Nad niewolę lepszy skon.

Koroniarz.





31 443ST 005
90 53 BR

160

90 16942
Ksiega pamiatkowa, 1863-64 :
Stanford University Libraries



3 6105 043 032 023

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(415) 723-1493

All books may be recalled after 7 days

DATE DUE

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004

